



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Ulga dla „zesłańców.” — Dla szkół. — Wiek kredytu p. M. S. — Stara Pompadurowa p. Szczedryna. — Lord Beaconsfield II. — Formy i siły polityczne według H. Spencera. — Korespondencje Prawdy: Z Petersburga p. R. — Z Moskwy p. D. — Akt oskarżenia hr. Tarnowskiego p. J. B. — Malarstwo i rzeźba I. — Liberum veto. — W perspektywie. — Tydzień polityczny. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

ULGA DLA „ZESŁAŃCÓW.”

Od lat dwudziestu blisko polacy, wysłani drogą administracyjną do ciężkich robót lub na osiedlenie w Syberyi, wyjąwszy cząstkowe łaski, nie byli przedmiotem żadnego rządowego postanowienia, łagodzącego smutne ich losy. Tymczasem wszystkie wiadomości o tych pokutnikach zdawały się wskazywać porę słusznej poprawy warunków ich życia. Nietylko świadkowie, mniej lub więcej życzliwi, ale nawet same władze, dozoruujące w Syberyi tak zwanych „zesłańców” polskich, wyznają jednoznacznie, że są to ludzie dziwnie uśmierzonego, rzec można — lojalnego charakteru. Zwłaszcza gdy do syberyjskich zbiorników więziennych zaczęły napływać burzliwe żywioły socjalistyczne, korna rzesza polskich wygnańców odbiła się przy nich uderzającą jagnięcością. Zapewnie, ludzie ci przed dwudziestu laty byli innymi i w oczach władz wyglądali inaczej; dziś jednak po długiej karze i oddaleniu od kraju, nietylko przedstawiają element bezpieczny, ale są niejako wymownem doświadczeniem, żywą przestrogą dla narodu. Zaiste, jeden powstaniec, wróciwszy z Syberyi, zdolny silniej oddziaływać na społeczeństwo w duchu rozczerowania, niż wszystkie artykuły Katkowów i Suworinów. Ci z zesłańców, którzy nie mogli przenieść niedoli lub pogodzić się z jej skutkami, poumierali; pozostała reszta ukorzyła się przed wyrokami losu i przejęta trwogą wspomnień przeszłych myśli jedynie o spędzeniu życia wśród swoich. Musiał do sfer wyższych przeniknąć odgłos takiej o nich wieści, bo — jak donosi *Dniwny Warszawski* z wiarogodnego źródła — na

przedstawienie ministra spraw wewnętrznych nadano im pewne ulgi. Dotychczas polityczni „zesłańcy” polscy zaliczeni byli do stanu włościańskiego. Otóż: 1) tym, którzy znajdują się w guberniach Rosyi europejskiej, oraz w Syberyi wschodniej i zachodniej, i którzy odznaczyli się dobrem sprawowaniem, dozwolono zapisywać się do gmin miejskich; 2) wszystkich, do tej kategorii należących, uwolniono z pod dozoru policyjnego z prawem zmiany miejsca dla zarobku; 3) pozwolenia na takie wyjazdy może wydawać wszędzie — z wyjątkiem gubernii Królestwa Polskiego i stolic — namiestnik Syberyi lub też gubernator, za każdym jednak razem osobno. Podobno skutkiem tego bardzo wielu zesłańców wystąpiło do ministra spraw wewnętrznych z podaniami o pozwolenie im zaliczenia się do stanu mieszczańskiego.

Mniej świadom rzeczy czytelnik zdziwi się nad pochopelem do korzystania z tej ulgi i zapyta, co syberyjscy pokutnicy na tem zyskają, gdy zamiast włościan zostaną mieszczanami? Tymczasem z tą drobną napozór zmianą łączy się bardzo ważna korzyść. Większość zesłańców należała do klas oświeconszych. Ludzie ci skazani na przymusowe mieszkanie po wsiach, pozbawieni zarówno środków do życia, jak sposobów i sił zarobkowania w tych warunkach, znajdowali się zwykle w strasznym położeniu. Ba i cóż miał począć jakiś student lub obywatel ziemski osadzony w małej, półdzikiej wioszczynie syberyjskiej, oddalony o setki lub tysiące wiorst od miasta? Jedynym sposobem uratowania życia było przyjęcie u chłopów obowiązków parobka. Do tego też wszyscy się uciekali. Ci, których szczęśliwszy los przeznaczył do miast, mieli daleko więcej dróg zarobkowania: zostawali nauczycielami prywatnymi, rzemieślnikami, kupcami i t. d. Wspomniane zatem

rozporządzenie, pozwalające zesłańcom zapisywać się do gmin miejskich a przeto rozszerzające zakres swobody pracy, zwłaszcza przy możności zmiany miejsca, staje się niewątpliwą ulgą. Zachodzi tylko pytanie, czy ona dziś nie jest nieco spóźnioną, czy wielu jeszcze osiedlonych pozostało w gminach wiejskich? O ile nam wiadomo, niewiele, chociaż w braku jakiegokolwiek wiarogodnej statystyki do informacji naszej nie przywiązujemy szczególnego znaczenia. Podobno większa część zesłanych przemieszkują obecnie w miastach Syberyi; dla tych więc rzeczywistą wagę posiada jedynie możność przenoszenia się z miejsca na miejsce, chociażby tylko w granicach Rosyi europejskiej i Syberyi.

Co do owej możności nasuwa nam się jedna uwaga. Rozporządzenie powiada, że pragnący wyjechać do jakiegokolwiek miejsca z wyłączeniem Królestwa Polskiego i stolic otrzymują pozwolenie od namiestnika Syberyi lub gubernatora; otóż powstaje kwestya, czy to wyłączenie jest bezwzględne, czy jedynie względne do prawnej kompetencji obu wspomnianych zwierzchników administracyjnych? Innemi słowy: czy zesłaniec nie może bezwarunkowo wyjechać do Królestwa, czy też nie może tego uczynić za pozwoleniem władz miejscowych, lecz musi je otrzymać od wyższej, np. od ministra spraw wewnętrznych? Chociażby to być miała wątpliwość *pui desiderii*, interesowani powinni ją rostrzygnąć praktycznie, t. j. spróbować, czy instancya naczelna nie przychyli się w pojedynczych wypadkach do prośby skazanych. Bądź co bądź, skoro już zaczęto w tym kierunku postępować, sądzymy, że krok pierwszy nie będzie ostatnim. Spodziewamy się ulg dalszych, ostatecznych, z powodu tej przemiany, jakiej polscy osiedleńcy syberyjscy ulegli w ciągu dwudziestu lat swej pokuty, a która to prze-

miana daje rządowi zupełną rękojmię spokoju tych żywiołów.

DLA SZKÓŁ.

Petrosze pustka martwego życia, potrosze chęć zapełnienia jej w sposób pożądaną przyczynia się do tego, że gazety opatrują swe oczy szklami, powiększającemi znaczenie „nowych rozporządzeń.“ Gdybyśmy zebrali pojedyncze nasze zachwyty nad rozmaitemi reformami, doprawdy złożyłaby się bardzo piękna sumka szczęścia. A jednakże.... łatwej domyślności pozostawiamy przetłumaczenie tych kropek na wyrazy. W ostatnich dniach prasa nasza znowu rozkosznie westchnęła nad „rozporządzeniem niemałej doniosłości:“ język polski ma być w szkołach zrównany co do praw z francuskim i niemieckim. „Przypuszczamy — powiada *Gaz. Warszawska* — że czytelnicy podzielią nasze przekonanie i słowa nasze będą wyrazem całego kraju (znowu!), iż powyższa uchwała z najżywszą przyjęta będzie radością, ale owszem wszyscy ludzie myślący z niecierpliwością wyglądają zdania pp. przełożonych, po których kraj ma prawo spodziewać się, że ważna ta sprawa zgodnie z prawdami nauki pedagogicznej rostrzygnięta będzie.“ Zaliste, *Nowoje Wremia* niesłusznie wiezie nas na stracenie z tablicą na piersiach: „nieprzejednani.“ Bo i jakże nam mało potrzeba! Dość nasz język ojczysty równouprawnić z.... francuskim i niemieckim, ażeby dzienniki polskie przyjmowały to dobrodziejstwo „z najżywszą radością,“ wyglądały go „niecierpliwie“ i nie wymagały niczego więcej, tylko żeby ta sprawa rozstrzygnięta była „zgodnie z prawdami... nauki pedagogicznej.“ Czy można mieć wymagania skromniejsze!

Jeżeli język polski ma być porównany „co do stanowiska i liczby lekcji tygodniowych“ z obcymi językami nowożytnymi,

to jego szczęśliwą przyszłość w szkole najwierniej i najłatwiej odgadniemy, uprzytomniwszy sobie stanowisko francuskiego i niemieckiego w obecnych jej programach. Dawna tradycja naszych gimnazyów pod tym względem przechowała się bez wielkiej zmiany. Według tej tradycji Niemcy i Francuzi są to nieraz i dziś jeszcze nauczyciele, który mswawolny żak w przystępie dobrego humoru na nagane odpowiada śmiechem, bo mu do promocji nie przeszkodzą; oba te języki są to kopciuszki szkolnego programu, wraz z rysunkami i kaligrafią zepchnięte na szary koniec; są to przedmioty, z których uczeń drwi, które lekceważy, dla których nigdy w domu czasu nie traci, lecz w klasie pod ławką dorywczo z kawałkiem *Alibabysię* poznajamia. Jeżeli guwerner lub guwernantka w domu nie pomogą nauczycielowi w szkole, to jego wychowaniec wyjdą ze świadectwem dojrzałości i sumieniem niepokalanem ani jedną porządnie zbadaną deklinacją języków nowożytnych. Ani życie nie zmusza ich do tej nauki, ani gimnazjum nie zachęca. W obecnym systemacie, w którym każdy niemal przedmiot, mechanicznie w głowy wwiercany, wydaje się uczniowi niezasłużoną karą jego młodości, francuski i niemiecki grają rolę najłżejszych strapien, z których można się łatwo otrząsnąć. Takie jest ich stanowisko, które ma zająć mowa polska i które wspomniana *Gazeta* przyjmuje z „najżywszą radością“ w imieniu... „całego kraju.“ Według nas, to nowe „stanowisko“ języka polskiego w gimnazyach ani nie zmieni dotychczasowej jego pozycji, ani nie posiada wielkiej doniosłości. Przydana godzina tygodniowo nie przeważa szali edukacyjnej. Jest to drobiazg, nadający się do zapisania między nowinkami bez szczególnego znaczenia. Nie zapominajmy bowiem, że uczniowie naszych szkół znają swój język ojczysty, jeżeli więc czego potrzebują to jedynie wyższej w nim nauki, a tego stanowisko języków obcych im nie da. Potrze-

buja gruntownego wykształcenia gramatycznego, literackiego, wreszcie poznałomienia się ze słownictwem różnych umiejętności, słowem rozwinięcia naturalnego organu swych myśli — to dopiero powitalibyśmy „z najżywszą radością“ i odwazili się nawet objawić ją w imieniu „całego kraju.“ Obecny i zapowiedziany wykład mowy polskiej w gimnazyach (jeżeli będzie bezwzględnie obowiązującym) przyniesie główną korzyść kształcącej się w nich młodzieży rosyjskiej, która tym sposobem pozna przynajmniej elementarne zasady języka ludności, wśród której dziś żyje a może kiedyś działać będzie.

Większe znaczenie posiada ta tak zwana „reforma“ dla szkół początkowych. Dzieci ludu zyskają przynajmniej większą sposobność nauczania się czytać i pisać w języku własnym, czego dotąd pozbawiał je albo sprzeczny z ustawą okólnik b. ministra Tołstoja, albo po prostu zbyt nia lęklliwość lub gorliwość wiejskich nauczycieli. Na tem polu obowiązkowość z jednej strony, a pomnożenie liczby godzin z drugiej mogą poprawić dotychczasowy stan edukacji ludowej. Czego, według dotychczasowych jej przepisów, mogły się nauczyć dzieci wieśniaka, teoretycznie obrachować trudno, a praktycznie dostrzedz łatwo — niczego. Cudem tylko nie traciły one daremnie czasu, urwanego od pasienia trzody chlewnej lub bydła. Do wszystkich ujemnych warunków, w jakich się znajduje nasza szkoła elementarna, do niedostatku środków i uzdolnień nauczyciela, do ciemnoty ludu, przybywał jeszcze brak łącznika między naturalnym organem jego myśli a przepisem szkoły. Może świeże rozporządzenie choć w części złemu zaradzi; jeśli wszakże niektóre pisma, klaskając w ręce, zawieszają to nowe sitko na kołku, uwodzą się chyba jego nowością. My wolelibyśmy stare, z przed dwudziestu laty.

Gdyby na to potrzeba było jeszcze dowodu, mamy go pod ręką. *Kurier Warsz.* donosi:

STARA POMPADUROWA¹⁾

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

Dla nikogo niespodziewana dymisya starego pompadura nie była tak obfitą w gorzkie następstwa, w nieczyjem istnieniu nie zostawiła takiej pustki, jak w istnieniu Nadziei Piotrówny Blamanget. Rewirowi, sekretarze i inni poddajacy, oczekując nowego pompadura, nazywali się ciągle rewirowymi, sekretarzami i poddjakami; ona tylko, w okamgnieniu i na zawsze, utraciła sławę, honory i znaczenie... Były chwile, w których zdawało jej się, że utraciła nawet swoją płęć żeńską...

— Przedewszystkiem, *ma chère*, dzwignij krzyż swój z godnością—mówił jej przyjaciółka, Olga Siemionowna Prochodimcewa, która niegdyś przez nią wprowadziła gdzieś swego męża na godność sekretarza: — nie zapominaj, że oczy całego miasta są na ciebie zwrócone.

Nadzieja Piotrówna zadrżała i myślą porównywała siebie z Izabelą hiszpańską. Cóż dla niej teraz znaczą „oczy całego miasta!“ Czemże one są dla niej, jeżeli tylko mierzą głębokość jej smutku! Straciwszy swego pompadura, straciła wszystko... nawet sposobność zostania patryotką!

Szczególnie ciężkie były dla niej ostatnie chwile rozstania. Jak zwyczaj każe, pożegnanie odbyło się na pierwszej stacyi od miasta, gdzie zebrali się najbardziej oddani dla odprowadzenia w dalszą drogę najlepszego z pompadurów.

Zakąsili, wypili, popłakali; sekretarz Prochodimcew do tego stopnia nawet zalał się łzami, że stary pompadur machnął tylko ręką i rzekł:

— Odprowadźcie go! Odprowadźcie go!... Poczeiwieć!...

Jednakże Nadzieja Piotrówna powstrzymywała się i nawet dosyć zrzęcznie udawała wesołą. Proszono ją o śpiew—nie odmówiła; wzięła gitarę i zaśpiewała ulubioną piosnkę pompadura:

Trzy dziewice...

a dopiero w chwili, kiedy wypadło zaintonować:

Ty, Matrimon!...

Ty, Matrimon!...

Nie nawijaj mi się!...

głos jej jak gdyby zadrżał...

Ale kiedy doniesiono, że konie zajechały, kiedy stary pompadur zaczął się już ubie-

rać i już wyciągnął ręce dla założenia waty do uszu, Nadzieja Piotrówna nie mogła wytrzymać. Zerwała szybko z własnych ramion włóczkową chusteczkę, a zawiązawszy ją na szyi pompadura, krzyknęła... Krzyk ten obudził echa sąsiednich lasów.

— *Nadine a été sublime d'abnegation!* — mówiła potem jedna z dam, obecnych na pożegnaniu: wyobraźcie sobie, przez całutką drogę jechała z otwartą szyją i nawet nie chciała zakryć się salopą.

— *Et ce cri!*... — dodała druga: — *ce cri!* Było to jakieś natchnienie!... Było to po prostu coś takiego...

Bądź co bądź, stary pompadur wyjechał, wyjechał do takiego stopnia, że nawet ślady jego powozu tej samej nocy śnieg zatarł.

Nadzieja Piotrówna z rozpaczą myślała o tem, że już od dnia jutrzejszego zacząć ją nazywać „starą pompadurą.“

Nie tak chorobliwie nie oddziaływała na wrażliwe dusze, jak zmiany i straty.

Zdarza się, że wyniosą krzesło z pokoju, a już szukasz go oczyma i czujesz, że czegoś brakuje; można więc sobie wyobrazić, jakie wzburzenie moralne musiało nastąpić w całym organizmie Nadziei Piotrówny, kiedy się przekonała, że wyniesiono z jej mieszkania całego pompadura! Przez długi czas nie mogła się oswoić z tą myślą, przez długi czas coś jakby kusiło ją, jakby poruszało. Ręka jej machinalnie podnosiła się, aby

¹⁾ Ze zbioru szkiców *Pompadury i Pompadurów*.

Wszyscy dyrektorowie gimnazyów i naczelnicy dyrekcji naukowych zostali zawezwani o udzielenie swoich uwag, oraz wskazanie, kosztem jakich przedmiotów ma być uzupełniona *dotychczasowa liczba 12-tu godzin*, rozłożonych na klas sześć (poczynając od pierwszej do szóstej włącznie) tak, aby wszystkich godzin języka polskiego było w 8-miu klasach gimnazjum ogółem 19, t. j. tyle, ile jest obecnie niemieckiego i francuskiego. Niektórzy jednak pp. dyrektorowie w żądanych od nich przedstawieniach wychodzą z fałszywej zasady. „Owe bowiem 19 godzin dzielą — jak oblicza *Kur. Warsz.* — nie na klas *ośm* lecz *dziwięć*, wliczając w nie już istniejące dwie godziny języka polskiego, wykładanego w klasie przygotowawczej, która mając etat i rozkład godzin niezależny od etatu i liczby godzin objętych ustawą dla ośmiu klas gimnazjum, a nadto osobnego nauczyciela, często wykładającego w niej i język polski, nie może wchodzić żadną miarą w rachubę. Klasa przygotowawcza może istnieć przy gimnazjum, lub nie, — nie wpływając wcale ani na rozkład godzin, ani na rozkład przedmiotów. Zastępuje tylko domowe wychowanie i nic więcej. Odrębność też jej do tego stopnia jest uwzględniona, że przy uwalnianiu uczniów gimnazjum od opłaty wpisu szkolnego nie wchodzi w liczbę ogólną przy odtrącaniu 10 procentu. Nadto nie istnieje wcale w szkole realnej, do której także liczba godzin 19 wykładu polskiego języka została zastosowana. Zaliczanie więc owych dwu godzin do 19-tu zatwierdzonych zupełnieby postać rzeczy w gimnazjach klasycznych zmieniło. W takim razie bowiem dotychczasowa liczba 12 godzin nie o siedm, lecz tylko o pięć powiększonaby została. Tym sposobem także zamiast dwu godzin w klasie siódmej i ósmej, jak to ma miejsce z językami: francuskim i niemieckim, byłoby tylko po jednej, co ze względu na przygotowanie odpowiednie do słuchania wykładów literatury w uniwersytecie nie byłoby dostatecznym. Nadto zaliczenie owych dwóch godzin klasy przygotowawczej do 19 i z tego względu nie jest logicznem, że już samo porównanie języka polskiego z językami niemieckim i francuskim, których wykładu niema w klasie przygotowawczej, stanowi podobną kombinację wyłącza. Gdyby zresztą klasa przygotowawcza zniesiona kiedykolwiek została, liczba godzin w gimnazjum ograniczo-

naby była tylko do 15, co się z reskryptem nie zgadza.”

Jeszcze do brzegu daleko, a już w statku dziury robią. Co będzie później? No, odgadnąć łatwo. Język polski uzyska *stanowisko* niemieckiego i francuskiego, a jakie to jest stanowisko — wiemy.

WIEK KREDYTU.

Słuchając rozpraw na posiedzeniach naszych banków i stowarzyszeń kredytowych, przypatrując się nagłemu padaniu finansowych dębów, pozbawionych korzeni, widząc rzetelne ubóstwo, nieznajdujące nigdzie pomocy, niejednokrotnie musimy rozmyślać nad potęgą i niedostatkiem kredytu. Zawsze wtedy wzdychamy do lepszych stosunków za granicą. Bez wątpienia są one tam lepsze, nie na tyle jednak, ażebyśmy w nich nie znaleźli odbicia własnych. Prof. K. Inama-Sternegg z Pragi pomieścił właśnie w jednym z pism niemieckich rozprawkę p. t. *Wiek kredytu*, gdzie ogarnął bystrem spojrzeniem jego obecny ustrój i uwidatnił te właśnie wady, które na naszym gruncie ekonomicznym wyskakują najwidoczniej.

Wielostronnie rozwinięte, śmiałe zastosowanie kredytu — powiada słusznie ten autor — obok siły pary odciska szczególne piętno na obecnem gospodarstwie naszym, na całym życiu cywilizacyjnem. Nigdy przedtem nie panował on tak nad stosunkami przemysłowymi i handlowymi; nigdy nie przybierał tak licznych i tak subtelnych form; nigdy używanie go nie było tak powszechnem i uporządkowanem; nigdy nie rozpościerał się na tak szerokie koło ludności. Ziemia, na której mieszkamy i której plody spożywamy, posiada swoje hypoteki; surowe materiały nabywa przemysłowiec na kredyt; wyroby przechodzą od niego do kupca, od kupca do kramarza, od kramarza do konsumenta drogą kredytu. Każdy

jedną ręką daje, a drugą pożyczka. Dziś kredyt nie zadawalnia się już ułatwianiem ruchu towarom, lecz wartością wszelkich dóbr, która zdaje się być złączona z niemi nierozdzielnie, czyni samoistnym przedmiotem handlu i nadaje mu odrębne zastosowanie, nie pozbawiając użyteczności w gospodarstwie tych dóbr życia, które ową wartość w sobie mieszczą. Nasze listy zastawne przedstawiają samoistną wartość miliona morgów ziemi, mimo że ziemia, będąca podstawą tego kredytu, nie przestaje nagradzać trudu rolnika swymi owocami. W wekslu zamienia kupiec dobre imię swej firmy na brzęczącą monetę, a w akcyi nadzieja przyszłych dochodów przedsiębiorstwa zyskuje w teraźniejszości wartość i postać dotykalm. Największe postępy w poprawie ziemi, olbrzymie i wzorowo urządzone fabryki, wspaniałe drogi i koleje żelazne powstały tylko dzięki kredytowi; jemu byt swój zawdzięczają nasze stolice, publiczne zakłady, kolosalne kanały i wodociągi. Rozpatrzywszy się w jego dziełach, przyznać musimy, że jest to najpotężniejszy czynnik postępu i pomyślności narodów.

Mimo wszakże całej okazałości w zastosowaniu kredytu, mimo całej swobody jego form, mimo całego uznania dla jego dobroczynnych skutków, wyznać musimy, że w cieniu pomników jego siły kryją się niezapokojone potrzeby ubóstwa, których dotąd do swego łona nie przygarnął. On, którego cała działalność ma spoczywać we wzrastaniu stosunków społecznego zaufania, którego antyspołeczne użycie staje się chorobą, rozwija się nader jednostronnie i zamiast leczyć rany, grozi coraz większym ich rozdarciem. Obecny nasz kredyt jest przeważnie przywilejem bogatych. Silnie postawionym firmom, możnym przedsiębiorcom, książęcom posiadaczom zlewa do rąk miliony i pozwala im miliony zarabiać. Drobnemu rzemieślnikowi, wieśniakowi, wyrobnikowi odmawia swych usług. A przecież ci bardziej potrzebują jego pomo-

uszczyznąć, albo pogłaskać kogo potwarzy; głowa i cały korpus pomimowoli nachylały się smętnie, aby odpocząć na czyjejs piersi. W uszach wyraźnie słyszała czyjś głos; jej talia wstrząsała się, jakby od dotknięcia czyjejs ręki; piers falowała i drżała; usta otwierały się do połowy, oddech stawał się urywany i gorący. Słowem, odbywał się w niej niejako sam przez się proces życia wczorajszego, kiedy szczęście pełnem jeszcze źródłem było w jej żyłach, kiedy nie było istoty, któraby się nią nie zajmowała, nie podziwiała jej, kiedy dokoła niej roily się niezmierzone tłumy nieśmiały wielbicieli, kiedy ona, chcąc powstrzymać ich unione propozycje i oświadczenia, zmuszoną była mówić ze smętną abnegacją: „Nie, panowie, o tem nie myślcie! To wszystko nie jest moje! Wszystko to i na wieki należy do mego miłego pompadurala...”

— Duszko, nie męcz się!... Otrzyj oczęta! — uspakajał Nadzieję Piotrównę jej małżonek, radca dworu Blamanget, klęcząc przed nią: — wierzaj, takie prośby, nigdy nie posyłają się bez celu! Z czasem...

— Co „z czasem?” — może pan myślisz mi jego zastąpić? — z oburzeniem przerwała mu Nadzieja Piotrówna.

— Aniołku, gołabeczek! Gdzie zaś! — Gdzież ja!... Mówię... z czasem...

— Idź precz, jesteś obrzydliwy!...

Blamanget wyszedł do drugiego pokoju i stamtąd nieśmiało przysłuchiwał się westchnieniom Nadziei Piotrówny.

Blamanget był chłopcem potulnym i tytułował się „mężem pompadurowej“ bez hałasu i bez szczególnego zachwalstwa, ale tylko tak, jak gdyby godność ta zadowalała go bardzo. Zdolał zyskać w mieście powszechny dla siebie szacunek przez to, że nie zadzierał nosa i nie był dumny. Inny, na jego miejscu, byłby się niezawodnie rozrzucał, udawałby tuza i płał figle. On zaś nietylko nie figlował, ale trzymał się zawsze tak, jak gdyby mu składano życzenia świąteczne.

— Jak zdrowie Nadziei Piotrówny? — pytali go znajomi, spotkawszy na ulicy.

— Dziękuję — odpowiadał uprzejmie — w chwili kiedy wychodziłem, siedział u niej...

A potem, zrobiwszy nagle tajemniczą minę, szepnął do ucha znajomego:

— Znowu się poprzytkali! — albo: — znowu pogodzili się! — zależało to od tego, czy znajomy wiedział, że przed tem nastąpił między pompadurami jakiś rozbrat miłosny, czy też pogodzenie.

Obywatele nietylko cenili taką równość charakteru, ale nawet upatrywali w niej oznaki męstwa. Wistocie nie można było nie cenić, gdyż wszyscy pamiętali jeszcze dobrze męża dawnej pompadurowej, kor-

neta Otletajewa, który nietylko rozbijał po nocach winiarnie, ale razu pewnego nago ze sztandarem w ręku przebiegł konno całe miasto.

To też kiedy wyjechał dawny pompadur, Blamanget zmarł, więc może bardziej, aniżeli sama Nadzieja Piotrówna. Czuł on, że i w jego życiu utworzyła się jakaś głębia; że chce komuś się ukłonić, niema komu; chce punktualnie wyjść z mieszkania, ale nie wie dokąd; chce powiedzieć: „jak pan rozkaże?” — a niema powodu. Po prostu stracił rację wykonywania tych czynności i wypowiedzania tych słów, jakie wykonywał i wypowiadał w ciągu kilkunastu lat z rzędu, a które razem wzięte tworzyły tak naturalne i ze wszystkich stron obronne otoczenie, że żył w niem jakoś miłej i spał jak gdyby wygodniej i rozkośniej.

Ze swej strony, i Nadzieja Piotrówna, w ciągu całego swego pompadurowania, postępowała z takim rozsądkiem i ostrożnością, że nietylko nie zaszkoziła sobie w opinii publicznej, ale nawet ją pozyskała. Prawda, że była dumna ze swego stanowiska, ale w tem znaczeniu tylko, iż sumienie wypełniała rolę dobroczynnej czarodziejki, która przypadła jej w udziale z woli losów. Żaden poddajacy nie odchodził od niej bez pociechy, żaden komisarz nie mógł odejść bez zachwyty dla jej łaskawego zachowania się.

cy, nie tylko wtedy, gdy w chwilowych kłopotach pragną wyrównać obecne potrzeby z przyszłymi dochodami, lecz nadewszystko, gdy cudzym kapitałem torują sobie drogę do samodzielnej pracy. Kto posiada dziesięć razy większy interes, używa nie tylko dziesięć razy większego kredytu; jest nadto znany dziesięć razy obszerniejszemu kołu; jego zatem kredyt przewyższa dziesięć razy dziesięć kredyt drobniejszego współpracownika, dalsze zaś stosunki społeczne zapewniają mu sto razy lepszy. To też sto razy łatwiej mu dostać pożyczkę, gdyż w wielkim kole możliwych jej źródeł daleko więcej spoczywa kapitał. Poważny dom handlowy zawsze znajdzie potrzebny kapitał; najpoważniejszy robotnik, który chce zacząć pracować samodzielnie, rzadko może na taką pomoc liczyć. Wynika to nie tylko z niedoskonałości form kredytu, nieumiejących dopasować się do tego szczególnego zadania. Główne zasady tej formy znajdujemy już w zaliczkowych i kredytowych stowarzyszeniach przemysłowców, w kasach pożyczkowych ziemian, w bankach robotników. Owa jednostronność nowożytnego kredytu ujawnia się w niedostatku, spoczywającym daleko głębiej, w niedostatku społecznej organizacji ludu, który mu odmawia najpotrzebniejszej pomocy. Kredyt bowiem służy każdemu, kto posiada zaufanie społeczne, a właśnie w warstwach najniższych, ekonomicznie najslabszych, panuje zupełny brak zaufania, wynikający ze smutnego wyosobnienia jednostek. Dawniejsze komunistyczne formy społeczne, zabezpieczające życie osobnika, zaginęły, nawet życie rodzinne się rozluźniło, skutkiem czego indywiduum jest oderwane od łączności z innymi. Wielkie zaś stowarzyszenia czasów nowszych nie wciągnęły w swój zakres masy drobnych żywiołów ekonomicznych. Mieszczanin, wieśniak, robotnik — stracili dawne związki i nie nabyli nowych. Każdy z nich żyje o własnych siłach, wyosobniony, pozostawiony samemu sobie; może swobodnie dogadzać

swemu egoizmowi, ale to właśnie kłała jego moralność. Kto nie ma do stracenia społecznego zaufania, ten nie uszanuje żadnego. W tem więc społecznym wyosobnieniu, w tem braku zaufania wśród klas niższych tkwi przyczyna nieistnienia między nimi kredytu; stąd także co najmniej zarówno wypływa ekonomiczne cofanie się, jak i z przewagi techniki wielkiego przemysłu i handlu nad małym.

Bacząc na to, pojmijmy słusność nawoływań do organizacji i skupienia sił. Egoizm niższy, uwzględniający tylko chwilowy interes jednostki, musi ustąpić wyższemu, który w rozwoju moralnych jej przymiotów widzi rękomię szerszego uznania społecznego. Najwłaściwszą ku temu formą okazały się *stowarzyszenia*, w których każdy zyskać może uznanie dla swej wartości osobistej. Tu wytwarzać się mogą i powinny społeczne stosunki zaufania rozleglejszego zakresu. Stowarzyszenie daje jednostce kredyt, który ona w niem posiada; a gdy zrozumie, jak dobroczynną dla całego jej gospodarstwa jest pomoc kapitału kredytowego, strzeże pilnie godności swego zaufania. W stowarzyszeniu interesa łączą się z sobą; zależy ono zarówno od ekonomicznego powodzenia swych członków, jak to ostatnie od pomyślnego istnienia towarzystwa. Nie tylko skupia słabe kredyty osobników i wytwarza silniejszy, lecz je potęguje, otwierając potrzebie kredytu każdego członka szerszy rynek kapitału.

Głęboka myśl tkwi w obietnicy Mahometa, przyrzekającego wiernym, że za jałmużnę odbiorą w niebie dziesięć, a za pożyczkę ośmnaście razy większą nagrodę. Jałmużna bowiem zaspakaja istotnie potrzebę chwilową, ale pomaga przelotnie, osłabiając nadto energię i cześć przyjmującego. Pożyczka, udzielona w porę, ratuje trwale, wzmacnia siłę do pracy i odpowiedzialność dłużnika, budzi w nim samowiedzę i ufność zarówno do siebie, jak do innych. Taką zaś pomoc dać może tylko

stowarzyszenie; sprawa więc kredytu jest sprawą społeczną i jako taka dotyczy nas wszystkich. Obecny wiek kredytu wtedy dopiero zasłuży na tę nazwę, gdy każdy człowiek będzie się mógł odwołać do cudzej pomocy, czując w sobie zaufanie.

W naszym społeczeństwie, posiadającym — że tak powiem — jedynie arystokrację kredytu, otwiera się przed nami oczyma rozległa, wcale nieuprawna niwa, na której przy pomyślnych warunkach, rozpocząć się winna wielka praca kojarzenia rozerwanych sił słabych w ekonomiczne związki. Nie w jakiejś klęsce przypadkowej, nie w wypadkach, które dostrzegamy na wierzchu życia, nie w występkach i nadużyciach lichwiarskich kryje się przyczyna ubóstwa i nędzy niższych warstw ludności, ale w zupełnym braku jakichkolwiek stowarzyszeń. Naszymi środkami, tymi zasobami, które społeczeństwo posiada, moglibyśmy obdzielić się wszyscy, gdyby tylko można je było uporządkować i połączyć w sposób pożądaný. To też w programie naszych życzeń ten punkt — możność zawierania stowarzyszeń — jest jednym z najważniejszych. Dopóki to wielkie prawo, otaczające swą dobroczynną opieką wszystkie społeczeństwa ucywilizowane, będzie wyłączone z zasad naszego istnienia, dopóty będziemy upadali pod krzyżem niedoli, dopóty jednostki biedniejsze będą ginęły jak muchy w sieciach lichwiarskich pajaków, dopóty w życiu nasze uderzać będą niszczące a niespodziewane pioruny ekonomiczne.

M. S.

Lord Beaconsfield.

(Beniamin Disraeli.)

II.

Jednym z najpotężniejszych i najświetniejszych wówczas (1830) ognisk życia to-

— O niej właśnie powiedzieć można — muchy nie skrzywdziła! — wołali chórem ci gorliwi wykonawcy rozkazów naczelnich.

Do każdego niejako mówiła: spójrz, jak jestem łagodna, uprzejma, słodka, dobra! i jak powinien być szczęśliwy ze mną twój naczelnik! Każdemu potrafiła powiedzieć coś uprzejmego. Jednemu trzymała do chrztu córkę albo syna, dla drugiego była matką, u bezdzietnych jadła pirogi. Nie gniewała się nawet, kiedy ją w rączki całowano i prowadzono drażniącą nerwy rozmowę. Sama lubiła trochę pokłamać, ale niech tylko rozmowa zaczynała być dwuznaczną, wtedy, bez żadnej zresztą obrazy, przerywała słowami: „Nie! O tem już bardzo proszę zapomnieć! To nie moje!... To wszystko należy do mego miłego pompadura!“ Słowem, strzegła pompadurowskiego dobra.

Naturalnie, obywatele i to potrafili naleyście ocenić. Wspominali dawne pompadurów, jakie były dumne i pretensjonalne, jak podsłuchiwały, obmawiały, a nawet pastwiły się; jak mianowały i degradowały, jak gnębiły podatkami i egzekucjami... Opowiadali sobie nawzajem o kornetowej Otletajewej, która pewnego razu rzuciła pomarańczą w swego męża na proszonym obiedzie, i nawet nie przeprosiła obecnych; a porównując ten gwałtowny sposób postępowania z łaskawie delikatnymi, prawie

niedosłyszczanymi ruchami Nadziei Piotrówny, wszyscy jękli jednym głosem:

— Muchy nie obraziła! Najpośledniejszego woźnego — i tego nawet nie skrzywdziła!...

Słowem, w miarę tego, jak zachwycała swego pompadura, szacunek powszechny dla niej coraz bardziej wzrastał. Dlatego też opuszczenie stanowiska pompadurowej było nie tylko dla niej znośne, ale nawet świetne. Zwykle bywa tak, że starą pompadurę natychmiast zaczynają drzeć na kawały, t. j. zaczynają jej nie poznawać, robić w jej obecności pewne niewłaściwe ruchy ciała, nazywać duszką, nasyłać jej dorózkarzy; tu zaś przeciwnie, wszystko skończyło się najprzystojniej. Całe miasto zrozumiało wielkość poniesionej przez nią straty, a kiedy pewien dowcipniś, ujrawszy dnia następnego Nadzieję Piotrównę, w czarnem od stóp do głów ubraniu, kleczącą w cerkwi i powszeiagłowie ale szczerze modlącą się, zamierzał uczynić jakiś wolniejszy ruch ręką, to całe towarzystwo zaprotestowało przeciwko takiemu postępkowi tem, że zaraz po mszy udało się do niej z wizytą.

— *Jamais, au grand jamais! Même dans ses plus beaux jours, elle n'a été fêtée de la sorte!* — mówiła radezyni stanu Głumowa, wspominając o tym tryumfie niewinności.

— Po prostu, jak gdyby była nie Blamanget, lecz jakaś księżniczka! — dodawał

od siebie rzeczywisty radca stanu Bałbiesow.

Nawet furmani przez długi czas wspominali, jak państwo jeździli „koic smutek Blamanżetów“, tak wielkim był w dniu tym zjazd ekwipaży przed jej domem.

— Bardzo proszę, duszko, do nas jak dawniej! — prosiła Nadzieję Piotrównę marszałkowa Wiedieniejewa.

— Pani wiesz, jak byliśmy przywiązane do tego, co dla pani tak drogie! — dodawała pani Prochwostowa.

— Pani wiesz, jak my cenimy, jak pojmujemy! — przerywała radezyni stanu Głumowa.

— *Mais venez donc diner, chère... sans cérémonies!* — łaskawie zapraszała rzeczywistą radezyni stanu Bałbiesowa.

— A im częściej, tem lepiej! — dodawał rzeczywisty radca stanu Bałbiesow, spoglądając na pompadurę śmiejącymi się ślepkami: — niedola pani jest wielką; ale, poważam się sądzić, że nie jest bez nadziei wyleczenia.

Do tak szczęśliwego obrotu rzeczy przyczyniło się niemało i to, że stary pompadur był jednym z tych, którzy zapalają nieugaszone płomienie w sercach obywateli, przyjmując w dniu galowe, nie lekceważąc proszonych obiadów ani wieczorów i z anielską cierpliwością podpisując podawane im papiery. Przypominali, jak dawniejsi pom-

warzyskiego był salon lady Blessington, słynnej piękności, połączonej ze swym szwagrem, hr. d'Orsay. Literacko salon ten odznaczał się zapamiętałą czcią dla Byrona, politycznie niechęcią do whigów. Obie te właściwości odpowiadały usposobieniu Disraeliego. Łączyła się z nimi trzecia — przyjaźń dla rodziny Bonapartych. Dzięki niej, Disraeli spotykał u pani Blessington dwu ludzi, którzy odegrali później pierwszorzędne role — ks. Ludwika Napoleona i hr. Morny.

Pochłonięty przez życie towarzyskie, zmuszony rzucać olbrzymie wydatki w otchłań chciwości wyborców, przywalił się ciężkiem brzemieniem długów. Gdy po wielu porażkach, przerwanych zwycięstwem w zakątku Maidstone, wystąpił jako kandydat w Shrewsbury, przeciwnicy ogłosili wydane przeciw niemu wyroki, z których się okazuje, że od r. 1838 — 41 skazany został ogółem na zapłacenie 20.000 f. szt. długów. Złoto miało dla Disraeliego nieprzyzwyczajony urok, bądź jako środek wpływu, bądź jako warunek szczęśliwego zbytkownego życia. To też po kartach jego powieści przesuwają się tylko milionerzy. Jego opisy szemrzą jak fale złotego potoku; gdy przyłożymy ucho do jego książki, słyszymy dźwięk złotej monety. Czy próbował dojść nagle do wielkiego majątku, czy grał? Sądząc z mistrzowskich, nadzwyczajną subtelnością psychologiczną oznaczonych scen jego utworów, zaledwie wątpić można. Czujemy w nich doświadczenie, jak czujemy je również w dumańiach nad... kredytem i lichwiarzami.

W takich warunkach rozpoczął Disraeli swą karierę polityczną. W r. 1822 ministerium whigów przeprowadziło wreszcie przez Izbę Wyższą reformę, podnoszącą ilość wyborców angielskich do 300.000. Tegoż roku Disraeli po raz pierwszy wystąpił jako kandydat w miasteczku High Wycombe. Pomimo jednak poczwórnej karety, mimo szyku, mimo rozlepionych po ulicach listów polecających od Hume'a i O'Connella,

mimo kilkogodzinnej mowy, w której przybrał charakter radykała ludowego i dowodził, że reformę należy posunąć jeszcze dalej — został pokonany przez kandydata rządowego. Ustąpił z groźbą: „Wigowie weszli mi w drogę — pożałują tego.“ Zarówno to jak i następne wystąpienie, w którym także upadł, zjednało mu u przeciwników nazwę *Radical-Tory*. Przy tej nazwie winniśmy zaznaczyć, że w owej epoce charakter *whigów* i *torysów* nie był ściśle oznaczony i że obie partye zmieniały ciągle godła i mieszały się z pierwiastkami najrozmaitszej natury. Dopiero od r. 1830 rozdział między temi stronnictwami staje się coraz wyraźniejszy. Dzięki temu dziwnemu skojarzeniu sprzecznych elementów Disraeli długo pływał po falach radykalizmu, nim wreszcie zawinął do portu torysów. Niezdecydowaną jest jeszcze broszura *What is He?* wydana po trzeciej wyborczej porażce. Dopiero gdy Disraeli przy czwartej kandydaturze zaczął O'Connella, który go zbiczował jako kłamcę, wkradającego się w zaufanie ludu, — w odpowiedzi na to biczowanie znać już większy ład w jego zasadach politycznych. Ale, niestety, mimo ufności w siebie, mimo wrózenia sobie tryumfu, po raz czwarty na wyborach przepadł.

Doszedł lat trzydziestu — wieku, który w życiu mężczyzny jest dobą największej płodności i energii. Z tego czasu pochodzą dwie powieści: *Venetia* i *Henrietta Temple*. Pierwsza z nich, posiadająca wysoką wartość literacką, osnuta jest na życiu ubóstwianego przez autora Byrona i Shelleya; druga znowu stanowi wątek czysto erotyczny. W obu (jak i w późniejszych) Disraeli wysunął kobietę na bardzo wydatne stanowisko. Zwykle każe on jej przyjmować nawet udział w życiu politycznem. Gdybyśmy spytali się jego powieści: „jaka chwila w życiu napawa nas największą dumą i szczęściem“ — wyszeptalyby nam: „chwila kiedy mężczyzna zastaje swoją ukochaną przy czytaniu mowy, która

w przeddzień zyskała ogólny poklask parlamentu.“

W r. 1838 wydał Disraeli obie powieści; tegoż roku wystąpił jako kandydat w Maidstone. W mowie swojej do wyborców, obok twierdzeń czysto torystycznych, rozlał on tyle dbałości o interesa ludu, że aż wpadł na grunt socjalistyczny. Mianowicie, wydana przez whigów ustawa zaopiekowała się biednymi z tytułu litości. Otóż Disraeli oświadczył, że ta opieka należy im się prawnie — i mimo niebezpiecznego współzawodnictwa zwyciężył. A więc wreszcie osiągnął cel, do którego przez lat pięć dążył i od którego odsunęły go cztery porażki — został nakoniec członkiem Izby Niższej. R. 1837 umarł Wiliam IV, po którym nastąpiła królowa. Właściwy zatem początek działalności politycznej Disraeliego przypadł jednocześnie z początkiem jej panowania. Wiadomo, jaki wpływ na losy deputata ma tak zwana „dziewiezia mowa“ w parlamencie. Disraeli przez kilka tygodni milczał. Pewnego dnia weszła pod obrady sprawa poparcia kościoła protestanckiego w Irlandyi, przeciwko której wystąpił potężny O'Connell. Gdy skończył podniósł się Disraeli. Sam jego ubiór sięgnął na siebie uwagę swą niezwykłością: zielony surdut, kamizelka pokryta złotymi łańcuszkami, czarny halsztuk bez kołnierza. Częścią dziwaczne ubranie, częścią wieści, które poprzedziły ten występ, usposobiły Izbę szyderezco. Zaledwie też debutant usta otworzył, powitano go głośnym śmiechem, któremu przewodniczyła partya O'Connella. Daremnie nieszczęśliwy Disraeli próbował uśmierzyć szyderstwa kolegów chłodnemi i grzeczными uwagami; co chwila wybuchały one ponownie i zmuszały go do przerywania mowy. Nie mogąc wreszcie powstrzymać tej uragającej mu burzy, rzekł: „Nie dziwi mnie wcale to przyjęcie, jakiego doznałem. Niejednokrotnie już rozpoczynałem rozmaite rzeczy i nakoniec osiągałem powodzenie. Teraz usiądę,

padurowie rzucali a nawet deptali nogami papiery, jak włóczyli się po mieście, z pianą na ustach, jak kułakowali rewirówych po brzuchu, wołając: cóż! wiele tu pogrzebiono kurek i prosiatek! — jak nieprzyzwyczajenie zachowywali się na proszonych obiadach... i nie mogli nie podziwiać łagodności i delikatności nowego (niestety! dziś dymisjonowanego!) pompadura. A ponieważ on, w początkach, okazywał pewne skłonności do deptania, a nawet kiedyś, obrażony na zarząd horodniczy, kazał umrzeć wszystkim jego członkom, nie bez podstawy więc domyślano się, że przemiana jego charakteru, była jedynym skutkiem dziękiżynnego wpływu Nadziei Piotrówny.

— Pomyśl pan tylko, ile potrzeba było poświęcenia, ażeby poskromić takiego zwierza! — mówili jedni.

— Wszak ona, rzec można, każdy jego wybryk przyjęła na swoje ciało! — twierdzili inni.

— Tak, sztuka to nie mała! Zostać wtrąconą do jednej klatki ze zwierzęciem — i nie zbestwić się — dodawali inni.

Zarówno więc stary pompadur, jak i sama Nadzieja Piotrówna, a nawet radca dworu Blamanget, wszyscy działali wspólnie, wszyscy przyczyniali się, aby przywiązać do niej serca obywateli. To też, kiedy stary pompadur wyjechał, ona znalazła się wcale nie w tem fałszywem położeniu, w którym zwykle znajdują się

wszystkie dymisjonowane pompadurowe, lecz po prostu stała się zajmującą ofiarą okrutnej administracyjnej konieczności. Jedno tylko wydawało się jej dziwnem: że w jej życiu ktoś, jak gdyby przeprowadził linię i powiedział przytem: „odtąd będziesz, jak dawniej, dziewczyną!“

Pomimo jednak całej sympatyi ogółu, Nadzieja Piotrówna, nie mogła zapomnieć o dziejach przeszłości. Stawały one przed nią, namacalne, żywe, jasne; słyż za nią krok w krok, pały jej policzki, gnioły piersi, kipiały we krwi. Nie mogła widzieć siebie w lustrze, ażeby wszędzie... wszędzie nie ujrzeć śladów pompadura!

— Brzydki jesteś pompadurku! Nadokazywałeś i wyjechałeś! — mówiła smętnie, siadając na sofce, a lzy sypały się ogromnymi brylantami na palające policzki.

Radca dworu Blamanget chwile takie podchwyttywał zwykle w locie, — i pociechutku, jak gdyby miał nogi z aksamitu, zbliżył się do sofki.

— Kochanko moja! — zaczynał: — Bóg jest miłosierny!... Zczasem...

— Odczep się! Obrzydłeś mi! Wszystko paskudne! Wszystko wstrętne! Wszystko nieczyste! — krzyczała na niego a nawet często rozbijała przytem jakąś drobnostkę.

Przedewszystkiem przypominały jej się pierwsze miodowe dni ich znajomości. Że go zachwyciła — nie było w tem nic dziwnego. Była to jedna z tych uroczych

kobiet, obok których żaden człowiek, mający komendę przy rogatkach, nie może przejść bez drżenia. Szczególniej zaś drażniący oddziaływał jej chód, a kiedy, wyprężona, nie szła, ale raczej płynęła po ulicy, to pompadur, sam tego nie spostrzegając, zaczynał podskakiwać. Wielu próbowało oprzeć się urokowi tego chodu, każdy jednak uległ. Razu pewnego jeden z akcyzników założył się nawet, że oprze się, ale zaledwie zrównał się z czarodziejką, wrzasnął do takiego stopnia, że mieszkający opodal mieszczanin Polotiebnow powiedział do żony: „a co, Marysiu, zda się zając pieśń zaśpiewał w lesie!“ W tem położeniu zastał go stary pompadur.

— Jesteś pan w tym wieku, że, zdaje się, winienes rozumieć sam, iż gwizdać na ulicy nieprzyzwyczajcie! — rzekł do niego surowo.

Lecz akcyzny nawet nie przeprosił, ale dalej klaskał językiem coś niezrozumiałego, wskazując ręką na oddalającą się Nadzieję Piotrównę.

Od tej chwili wszystko między niemi poszło, jak po maśle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ale przyjdzie czas, w którym będziecie mnie słuchali.“

Vae ridentibus! Biada śmiejącym się, którzy nową siłę pragną pokonać kpinami. Ci, którzy się śmieją, podobni są do tych, którzy krzyczą *hura!*; jest to tłum, najprzód nierozumiejący niczego, a w końcu podziwiający wszystko. W tydzień po niepowodzeniu Disraeli znowu przemówił — krótko i nie wyzywając nikogo. Metodę tę powtórzył kilkakrotnie — i zawsze mu nie przerywano. Następnie zaczął rozwodzić się dłużej — słuchano go. Z mów tych szczególnie zasługują na uwagę dwie: w jednej Disraeli zajął stanowisko obrońcy kościoła państwowego, a w drugiej wystąpił przeciwko tak zwanej „prośbie narodowej.“ Podali ją *chartyści*, uważani, niedosć słusznie, za pierwszych socjalistów angielskich, gdyż najprzód żądali oni tylko reform politycznych, a powtórnie nie opierali się na oderwanych prawach człowieka, lecz domagali się zmiany w ustawie wyborczej i w organizacyi ciał prawodawczych. Prośba ta, natchniona przez przywódcę ruchu, O' Connora, opatrzona była 1,200,000 podpisów, tak że musiano użyć osobnej maszyny dla wniesienia olbrzymiej masy pergaminu do parlamentu. Niema ta jednak i olbrzymia przedstawicielka żądań ludu tak dalece nie zasłużyła na uwagę Izby, że szanowni posłowie nie chcieli jej poświęcić chwili czasu, zajęci... konstytucją dla Jamajki. Jeden tylko Disraeli zabrał głos, przypisując cały ruch agitacyi whigowskiej.

W kilka miesięcy po wystąpieniu w tej sprawie Disraeli zaślubił o dziesięć lat starszą wdowę po swym koledze Lewisie. Małżeństwo to, źle tłumaczone z pozorów, spajała szczerą miłość. Pani Disraeli była zakochaną w swym mężu, przyjmowała żywy udział w jego czynnościach politycznych z zapalem, który doskonale odznaczył się w następującym wypadku. Raz odjeżdżając do parlamentu, zgniotła sobie drzwiczkami karety kilka palców. Ażeby nie zmartwić męża i nie przeszkodzić w ważnej mowie, którą miał właśnie wypowiedzieć, nie wydała najmniejszego krzyku i przesiadła wśród cierpień do końca sesyi. Gdy w r. 1868 Disraeli odmówił przyjęcia godności para, prosił królową o przyznanie zonie tytułu *lady of Beaconsfield*; dopiero w trzy lata potem sam został *lordem*. Małżeństwo to jeszcze bardziej zdecydowało jego pozycję społeczną. W owym czasie spoiła się grupa młodzieńskich arystokratów pod nazwą „Młodej Anglii,“ a właściwie starej, która wywiesiła romantyczny sztandar dawnego kościoła i szlachty. Na czele tej drużyny stanął poszukujący stronnictwa Disraeli, owocem zaś stosunków z reakcyjnymi młokosami była powieść, a raczej galerya charakterów *Coningsby*, w której autor zamierzył nakreślić im program i oprzeć partyę torysowską na nowych podstawach — ludowych. Według niego winna ona być *konserwatywną*, lecz niebezwzględnie, tylko rozumnie strzedz tego, co na zachowanie zasługuje. Dotąd bowiem składała się z ludzi, których zasadą polityczną było: 1.200 funt. szt. z kwartalną wypłatą. Logikę tych polityków Disraeli tak charakteryzuje: „pobierać 1.200 f. szt. rocznie jest

rządzić; starać się pobierać 1.200 f. szt. znaczy tworzyć opozycję; życzyć sobie pobierać 1.200 funt. szt. jest to być ambitnym.“ Na miejsce tych reguł „Młoda Anglia“ miała wprowadzić geniusz i trwałe zasady.

FORMY I SIŁY POLITYCZNE *)

według
Herberta Spencera.

W świetnym rozwoju idei fizyologicznych wielką rolę odegrało odkrycie, które dało nam poznać, że organizmy, niemające napozór nic wspólnego w stanie dojrzałym były jednak bardzo podobne w stanie pierwotnym, oraz że wszystkie pochodzą od wspólnej budowy. Znajomość tego prawa nie tylko zmieniła nasze pojęcia o stosunku organizmów, ale i o stosunku ich składowych części między sobą.

Jeżeli narody się rozwijały, jeżeli wzajemna zależność, wiążąca ich części, warunkująca współdziałanie społeczne i nadająca społeczeństwu znaczenie prawdziwych ciał zorganizowanych, jeżeli ta zależność powstawała stopniowo, trzeba przypuścić, że wbrew różnicom, które znamionują postacie rozwinięte, istnieje budowa początkowa, od której wszystkie pochodzą.

Jeżeli poznamy tę pierwotną jedność, to skonstatowanie tego faktu pomoże nam wyjaśnić różnorodność końcową. Zrozumiemy lepiej, jakim sposobem w każdym społeczeństwie różne pierwiastki władzy politycznej doszły do tego stanu, w którym je widzimy i jakie stosunki wiążą je ze sobą wzajemnie.

Gdy na przykład niezorganizowana horda ma rostrzygać kwestję przeniesienia się lub obrony przeciwko nieprzyjacielowi, to składające ją jednostki podzieli się mniej lub więcej wyraźnie na dwa odłamy: starsi, mocniejsi, których siła i odwaga jest już wypróbowaną, utworzą mniejszą grupę, biorącą udział w rozprawach, gdy tymczasem większa, złożona z młodych, słabszych i nieodznaczonych, ograniczy się do roli słuchaczów, wyrażających tylko swą zgodę lub naganę. W grupie przewodniczącej znajdą się ludzie, których wpływ zwycięży. Będzie to jakiś myśliwy starzec, wojownik znakomity, zdolny czarodziej, którego zdanie przeważa tak, że w jego duchu działać będzie cała horda, która tym sposobem podzieli się na *trzy grupy*.

Te pierwsze zaczątki budowy politycznej, których formację uważa Spencer *a priori* za samorodną (*spontaniczną*), powstały u ludów najmniej rozwiniętych; powtarzanie nadaje im możność wytworzenia stałego i trwałego porządku. Gdy które pokolenie krajowców Wiktorii gotuje się do zemsty na innem pokoleniu za zabicie jednego ze swych członków, zbiera się rada złożona ze starców, kobiety tworzą zewnętrzne koło, otaczające mężczyzn, a naczelnik (zwykle osoba, mająca największy wpływ) otwiera radę. Dzieje się to w zgromadzeniu, w którym istnieją tylko naturalne różnice, wynikające z siły, wieku i zdolności. Toż samo widzimy tam, gdzie te różnice nabrały bardziej określonego charakteru. Spotykamy to w opisie konferencyi komisarzy Stanów Zjednoczonych z czyppewami, ottawami i pottowatomami opisaną przez Schoolcrafta, który był jej świadkiem. Po przemówieniu komisarza ze strony indyan zabierali głos różni naczelnicy, począwszy od człowieka „szanownego wiekiem i położeniem,“ a jeden w swej odezwie tak rozróżnia członków zgromadzenia: „Oto widzicie mych braci starych i młodych,

wojowników i wodzów, kobiety i dzieci mego narodu.“ Ten porządek polityczny jest pospolitym, gdyż znajdujemy go nawet w częściach Ameryki, gdzie naczelnicy otrzymali odznaczenie za nabyte zasługi.

U rozmaitych ludów odmiennego typu, zajmujących siedziby oddalone, spotykamy tę formę pierwotną rządu, zmodyfikowaną w szczegółach, ale w głębi mającą ten sam charakter. W Nowej Zelandyi naczelnicy plemion w sprawach ogólnych, gdy idzie o zawarcie pokoju lub wypowiedzenie wojny, muszą uwzględniać zdanie większości; na wyspach Tahiti król otoczony szczupłą radą przyboczną nie może nie zdzialać w ważnych wypadkach bez zasięgnięcia rady u drugorzędnych właścicieli ziemskich, zebranych w zgromadzenie publiczne. To samo dzieje się u malgaszów. Na Madagaskarze radę narodową stanowi zgromadzenie ludu stolicy, naczelników prowincyi, miast i wsi, na którym król osobiście przewodniczy. W tym ostatnim przykładzie widzimy, jak grupa wewnętrzna pozyskała większą władzę z uszczerbkiem mieszkających w głębi kraju, ale trzy zasadnicze odłamy zawsze tu istnieją i znajdujemy je także, przechodząc do narodów historycznych. W Tyrze, za czasów Aleksandra, senat wraz ze zgromadzeniem narodem rostrzygał o wojnie, bez zgody i obecności króla; w Grecyi homerowskiej *agora*, tj. zgromadzenie ogólne, składało się z wodzów, prowadzących narady wobec ludu, który wyrażał swe zadowolenie, otaczając wodzów, ale nie zawsze był bierny, jak o tem świadczy znana w Iliadzie sprzeczka garbatego Thersytosa z Ulisessem. W Rzymie pierwotnym król, senat i ludzie wolni jakkolwiek nie łączyli się w działalności współczesnej, jednakże w ważnych wydarzeniach król komunikował swe projekty zgromadzonemu obywatelom, którzy wyrażali zgodę lub naganę, gdy naczelnicy plemion, składając senat, mieli dość siły w danym razie unieważnić zamiary króla i obywateli.

Ta forma ustroju politycznego jest pierwotną, ponieważ spotykamy ją na początku życia społecznego nie tylko u ludów wyższych, aryjskich i semitów, ale u niektórych polinezyjskich i czernonoskórych Ameryki Południowej. Na początku niema żadnej innej siły rządowej, tylko wola wspólna, wyrażona przez gromadę. W określeniu tej woli główną rolę muszą grać ludzie nieliczni o uznanej wyższości. Pomiedzy nimi znajdzie się jeden znowu najwybitniejszy. W tem ukształtowaniu pierwotnego ustroju politycznego, niezależnie od pojawiających się różnic ludzi wyższych i niższych, niezależnie od pierwotnych objawów władzy głównego naczelnika, zauważyć trzeba przedewszystkiem niejasne zarysy budowy politycznej *troistej a jednej*. Te trzy składowe pierwiastki podlegają zmianom mniej lub więcej znacznym, warunkowanym już to przez czynną naturę jednostek, składających grupę, już to przez okoliczności fizyczne albo zajęcia wojskowe i pokojowe, już to nareszcie przez charakter wyjątkowy pewnych osobników. Przymioty osobistej siły i zręczności, często uważane za dary nadprzyrodzone, mogą dać pewnym członkom plemienia wpływ, który przechodząc dziedzicznie przekazuje spadkobiercom ten sam charakter nadnaturalny i może dać początek władzy, która wynosi się nad naczelników i całą masę ludu. Szczęśliwe wojny, nadające energię i sprężystość pewnej grupie politycznej, sprawiają, że może ona ujarzmić inne grupy, niemające tyle energii i karności. Gdy zaś członkowie niższej grupy zachowują swe zwyczaje tak, że się oprą przymusowi, mogą otrzymać nad innymi naczelną zwierzchnictwo. Chociaż wszakże podczas rozwoju te pierwiastki zasadnicze zmieniają stosunek w rozmaitych stopniach, chociaż nawet niektóre upadają i schodzą do stanu zanikowego, jedna oko-

*) *Revue philosophique*, marzec 1881.

liczność modyfikuje stanowczo nasze poglądy na formy polityczne, mianowicie pochodzenie ich wspólne od tej pierwotnej formy. Trzeba więc uważać monarchię despotyczną, oligarchię i demokrację za typy rządów, w którym jeden z pierwiastków początkowych rozwinął się ze szkoda dwu innych i podzielić rozmaite typy mieszane odpowiednio do stopnia wpływu, zachowanego przez jeden z pierwiastków początkowych.

Czy istnieje jaka jedność zasadnicza sił politycznych, towarzysząca tej jedności form? Tracąc z oczu początek wspólny ustrojów politycznych, przestaliśmy dostrzegać jasno początku ich potęgi. Zwykle jesteśmy zdolni do zapominania o rzeczach dalekich, gdy myślimy o bliskich. Widzimy na przykład okręt rozbity na skałach, uznajemy w tem niszczącą potęgę morza, a jednak zastanowiwszy się, dojdziemy do przekonania, że morze samo przez się jest bierne i że siłę niszczącą nadały mu prądy powietrza, które znowu uważane same w sobie jest także bierne, albowiem ruchy jego i wichry są wynikiem rozmaitych działań ciepła słonecznego na różne części powierzchni ziemi. Idąc tak dalej, dojdziemy do przyczyny tego działania w skupieniu masy słonecznej, wywołanem przez wzajemne ciążenie ciałek. Popęd do przypisywania siły widomemu narzędziu, które ją wykonywa, nie zaś niewidzialnej przyczynie, z której ona wynika, ma wpływ bardzo niekorzystny na nasze pojęcia w ogłości, a między innymi na nasze pojęcia polityczne. Bez wątpienia, w przeszłości zwyczaj uważania siły rządów jako przymiotu, tkwiącego w nich samych, stopniowo się zamodyfikował pod wpływem rozwoju instytucji ludowych; mimo to jednak i dzisiaj jeszcze niedość jasno pojmowaną jest ta okoliczność, że rządy nie mają bynajmniej mocy same przez się, ale są tylko narzędziami, zapomocą których działa pewna siła. Ta siła istniała przed powstaniem rządów, ona to właśnie je stworzyła, ona to w różnych postaciach działa za ich pomocą. Przykładów na to dostarczy znowu życie ludów pierwotnych. U grenlandczyków, którzy obywają się zupełnie bez władzy politycznej, pokrzywdzony członek plemienia wyzywa przeciwnika na walkę poetyczną, układa satyrę wygłoszoną wobec całego plemienia, a ten pojedynek satyryczny kończy się wygraną tego, kto ma ostatnie słowo. Według Crantz'a bojaźń bezceści publicznej jest największym hamulcem dla grenlandczyka: widzimy tu w formie pierwotnej i bezwzględnej rządzący wpływ uczucia zbiorowego, który poprzedza wpływ rządzący, bardziej szczegółowe. Z bojaźnią nagany społecznej łączy się niekiedy kara wygnania, praktykowana w różnych formach u australezyków, u plemienia kolumbijskiego salizów, u krajowców górali w Indyach u bodosów i dimalów i t. d.

Zauważyć trzeba, że władza polityczna nawet długi czas po widocznym ukształtowaniu się podlega powadze uczucia publicznego. Przykłady na to znajdziemy u indyan „węzów“, u chinuków, u pokolenia dacotah, u krików, kirgizów, ostyaków, nagosów, hottentotów z pokolenia koranna, a nawet u kafrów, gdzie król zajmuje ważne prawodawcze stanowisko. Władza naczelników jest zależną wszędzie, albo od ich osobistych przymiotów, albo od woli narodu a nawet zgody jednostek, mogących łatwo się z pod niej wyłamać.

W swej pierwotnej zatem formie potęga polityczna jest pocuciem wspólności, działającą za pomocą instytucji, przez nie wytworzonej formalnie lub też nie.

Uczucie zbiorowe, które zrazu działa samo przez się a potem za pomocą widomego czynnika, jest do pewnego punktu samorodnem pocuciem osób interesowanych a bardziej jeszcze opinią, im narzuconą lub przypisaną. Przedewszystkiem siła pobudzająca, która warunkuje ogólny sposób czynności, pochodzi od przed-

ków, jest ona wytworem wszystkich przeszłych objawów czynnych; drugorzędne zaś motywy szczegółowe, wyznaczające granice postępowania, są wytworzone w pierwotnych czasach życia i podległe wierzeniom oraz zwyczajom stanowiącym dziedzictwo gminy. Uczuciem kierowniczym jest więc nagromadzone i zorganizowane uczucie przeszłości. Zwyczaje władcze są tak silne, że niepodobna ich unikać choćby na przykład nakazywały u niektórych plemion wybijanie zębów, tatuowanie i męki. Świadczą one, że siła kierownicza, istniejąca przed ukształceniem ustroju politycznego, nie jest niczem innym, jak opinią utworzoną stopniowo przez niezliczone pokolenia. Nie stanowi jej właściwie opinia, która sama przez się jest bezwładnym produktem intelektualnym, ale poruszenie, które towarzyszy tej opinii. Zwyczaje przodków mają ogromne znaczenie u tupisów u hotentotów z pokolenia koranna, u araukanów u dajaków i u malgaszów, u których zmiany są niedopuszczalne a pojęcie postępu niemożliwe. Słowem, zanim ukształtuje się określony ustrój polityczny, istnieje władza, wpływająca częścią z opinii publicznej ludzi żyjących, a bardziej z opinii publicznej ludzi umarłych, a gdy ta władza powstanie, to jej działanie kierownicze polega na woli ogółu oraz na narzuceniu prawideł dziedzicznych postępowania, w których wielają się uczucia i pojęcia tradycyjne. Widzimy to u alfurów, u kirgizów, mieszkańców Sumatry, gdzie sądy i wyroki władców opierają się na podstawie zwyczajów odziedziczonych po przodkach.

Zależność książąt od zwyczajów przeszłości, widoczna u wielu ludów pierwotnych, znajduje się w pozornej sprzeczności z przykładami widocznego panowania jednej woli w narodzie, która wyraża się w łatwości, z jaką tyran pozbawia mimowolnie życia, szafuje dowolnie krwią i mieniem tysięcy. W jaki więc sposób należy zmodyfikować to pierwotne twierdzenie? Obok tego, że w pierwszych epokach rozwoju społeczeństw organa rządu są produktem uczucia ogólnego, należy przypuścić, że pierwotne stosunki komplikują się, gdy wskutek wojny mniejsze grupy ukształtują się w większe.

Władza, narzucona siłą przez najeźdźcę, nie może mieć znamienia powagi, która się rozwinęła w łonie samego społeczeństwa; gdy zaś naczelnik polityczny opiera swą władzę na pocuciu części panującej w społeczeństwie, albo przeciwstawia sobie różne uczucia wyższych i niższych części narodu, posiada wtedy środki nadania swej osobistej woli naczelnego znaczenia. Pomimo tych zastrzeżeń rzecz można, że prawie cała siła, wykonywana przez ustrój polityczny, wynika z uczucia tej części narodu, która może ją ujawnić, że opinia części panującej jest główną przyczyną akcyi politycznej. Tak się działo w Rzymie, gdy władza cesarska zależała od pretoryanów, tak się dzieje teraz w Dahomeju.

Siła woli ogólnej ciąży na woli samowładcy, który jest obowiązany szanować i zachowywać całość praw, będących produktem uczuć i pojęć przeszłości, jak to się działo w Egipcie, gdzie długo wiekowe dynastie panowały, nie zmieniając starodawnego porządku. Samowładca nawet, chociaż potęgę swą chce boskiem pochodzeniem naznaczyć, jest jednak związany przez tysiące zwyczajów, które zamieniają życie jego na prawdziwą niewolę.

Główną zasadą jest to, że, jeżeli formy i prawa każdego społeczeństwa są produktami skonsolidowanymi poruszeń oraz idei tych, którzy żyli w przeszłości, to stają się widocznie przez władzę, jaką mają nad uczuciami i pojęciami istniejącymi. W najogólniejszym znaczeniu pocucie wspólności jest jedynym źródłem władzy politycznej u społeczeństw niepodległych cudzemu panowaniu.

Nauka wykazała, że trzeba w przyczynach działających dopatrywać się przyczyn, które wywołały za pomocą podobnych czynności przeszłych stan rzeczy obecny. Idąc za tą wskazówką, można stwierdzić poprzednie wywody.

Współczesne zgromadzenia publiczne dają nam przykłady tego samego różnicowania, jakie stanowi charakter pierwotnego ustroju politycznego. Znajdujemy tu ogół tworzący audytorium, którego rola ogranicza się na potwierdzeniu lub odrzuceniu wniosków, znajdujemy część mniejszą złożoną z ludzi wybitnych i wpływowych, na koniec wśród nich istnieje człowiek, zwykle najznakomitszy, będący królem chwili. Gdy przypadkowe zgromadzenie staje się ciałem trwałem — stowarzyszeniem, spółką, klubem — trzy te części, zrazu niewyraźne, przybierają kształty określone i stają się prezydentem, komitetem i członkami lub akcyonaryuszami, a stosunki tych różnych czynników zmieniają się stosownie do natury i rozwoju tych organizmów zbiorowych.

Potęga uczucia zbiorowego, jako czynnika kierującego, ukazuje się w tej władzy nieprzypartej, jaką ma opinia społeczna nad czynnościami w ogóle. Widzimy to w bezwładności praw przeciw pojedynkom, w niemocy nakazów i gróźb religijnych, uzbrojonych klątwą potępienia a niezdolnych powstrzymać najbardziej krzywdzących napadów, wywołanych przez interesa lub namiętności panujące. Dość zwrócić uwagę na siłę praw zwyczajowych i przepisów mody, aby widzieć, że moc kodeksu towarzyskiego, prawa niepisane jest silniejszą, aniżeli prawo pisane i nakazy religii.

Rzut oka ogólny na czynności człowieka zniewala nas uznać, że podobnie jak w początkach społecznego życia czynności te są kierowane przez uczucie zbiorowe, przeszłe i teraźniejsze, że ustrój polityczny, wytworzony przez to uczucie w stopniowym rozwoju, zostaje jeszcze teraz głównym organem pewnej wyszczególnionej części tego uczucia, rządzącym czynnościami rozmaitego rodzaju.

Indukeya ta jest zasadniczym pierwiastkiem teorii politycznej. Chociaż wydaje się pospolitą, jest jednak uznawaną raczej w słowach aniżeli w faktach. Nawet w Anglii i innych krajach konstytucyjnych nie jest zrozumianą, jak należy ta okoliczność, że popędy skombinowane, które działają za pośrednictwem narzędzi politycznych, mogą w braku tych narzędzi wytworzyć inne, za pośrednictwem których działać będą. Ludzie, którzy tworzą politykę rozumują tak, jakby te narzędzia państwowe posiadały siłę własną, której nie mają, jakby uczucie, wytwarzające te narzędzia, nie miało tej rdzennej mocy, jaką posiada. Oczywiście zaburzenie tych pojęć musi mocno rozstroić ich działania.

KORESPONDENCJE PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

20 kwietnia.

Proces się skończył, nawet w dziennikach — straszny wyrok spełniony; zanim więc nastąpią inne wrażenia, spieszymy myśleć, a raczej mówić o czem innym. Otóż szkoła dla młodzieży rozmaitego wieku stanowi dziś przedmiot dnia. Przyszłoby rzeczywiście czas wielki zastanowić się seryo nad środkami zatrzymania młodych pokoleń na drodze normalnej i nad przyczynami, które je z niej sprowadzają. Teraz musiano się przekonać ostatecznie, że środki policyjne nie starczą na wszystko, że kwiat młodzieży dochodzi

wieku dojrzałego gdzieś daleko od kraju, po za warunkami bytu cywilizowanego — i że stan ten trwa już przynajmniej lat dziesięć.

Sypią się więc projekty, artykuły, prócz tytułów nie wspólnego niemające ze sobą, a wszystkie traktujące szkołę mniej więcej oderwanie od ogólnego porządku rzeczy, zanadto wiele, zdaniem naszym, przypisujące znaczenia samej organizacji szkolnej, jak gdyby jakikolwiekby jej charakter mógł sam ochronić młodzież od ulegania prądom ogólnym, nurtującym masy społeczne. Organizacja szkolna, mająca bez zaprzeczenia stanowczy wpływ na dzieci, wychowujące się w zakładach niższych i średnich, — daleko mniej oddziałuje na młodzież uniwersytecką; należy więc pamiętać, że sama przez się nie jest ona w stanie usunąć „zamieszkań studentek”, gdyż po za nią stoi życie samo, życie narodowe i społeczne, obchodzące studentów, jako członków społeczeństwa, najczęściej pełnoletnich. Uniwersytety, zwłaszcza petersburski i moskiewski, zwracają dziś na siebie powszechną uwagę. Okoliczności tak jakos się zbiegły, że w jednym prawie czasie wychowawcy ich ulegli sądowi profesorskiemu, i w ten sam dzień prawie zostały ogłoszone wyroki. Wyroki te mocno obchodziły publiczność, gdyż dziś obwinionych bardziej nieprzewidziane niż zwykle mogą oczekiwać skutki. Wogóle wyrok uniwersytetu tutejszego okazał się łagodniejszym, ponieważ z ogólnej masy oskarżonych sąd profesorski 26 uznał za niewinnych, 91 postanowił udzielić nagany, 33 skazał na 3 dni aresztu, 25 na 7 dni, 13 zaś postanowił uwolnić z uniwersytetu na jeden rok, zostawiając im prawo wstąpienia doń znowu po upływie tego czasu, co też może niektórzy z nich uczynią, jeżeli nie znajdą się za daleko od stolicy i w wszystkich miast głównych kraju.

Zamieszkania moskiewskie więcej materiału dają do polemiki dziennikom rozmaitych kierunków. Stronnicy korporacji studentek, autonomii uniwersytetu walczą z przedstawicielami innej strony, życzącej sobie przedewszystkiem trzymania młodzieży w ścisłych karbach pod dozorem władzy, stojącej po za obrębem zakładów. Wiadomość podana przez pisma o zamiarze nowego ministra oświaty przywrócenia pierwotnego znaczenia ustawie roku 1863, dała hasło do tem gorętszej polemiki. Niektóre pisma, zwłaszcza moskiewskie, oburzają się na myśl podobną, zwracając uwagę na to, że ustawa ta, czyniąc korporację profesorską niezależną od wszelkiej kontroli, jest właśnie główną przyczyną nieporządku uniwersyteckiego, gdy tymczasem profesorowie powinni być odpowiedzialni za studentów przed władzą wyższą i obowiązani zawsze ręczyć za nich. Wymówki coraz to częstsze dotyczą p. Saburowa (byłego ministra oświaty) za to, że korzystając z czasowego zawieszenia wzmiankowanej ustawy, mającej wówczas uleść wielkim zmianom, dozwolił rozwijać się i urzeczywistniać projektom korporacji studentek zebrani (tak zwanych „schodok”) i t. d., na których oprócz kwestyj kasyowych, kuchennych i t. p. podnoszono również zagadnienia całkiem innej natury. Władze uniwersyteckie, spostrzegłszy to, czuły się w obowiązku zabronienia nadal podobnych zebrani ogólnych, opór zaś ze strony pewnej części studentów (254 z 2500) doprowadził do kroku stanowczego, do przywołania policji i oddania pod sąd kilkuset studentów. Gdy policja opasywała budynek uniwersytecki, tłumu ludu, przypatrującego się temu widowisku, oddzieliła się grupa, przeważnie z drobnych handlarzy złożona, głośnymi krzykami wypowiadająca swoje chęci „połamania żeber braciom rysakowskiej kompanii.” Oprócz studentów, przyjmujących udział w zakazanym przez prorektora zebraniu, sąd uniwersytecki rozpatrywał także winę ich 80

kolegów, niechęcych się rozejść spokojnie 27 marca z sali uniwersyteckiej po obronie dysertacji na stopień doktora ekonomii politycznej prof. Iwaniukowa, podczas której dziekan pozbawił prawa głosu jednego z nieurzędowych oponentów, studenta 5-go kursu, dowodzącego, że twierdzenia profesora co do zupełnego braku związku pomiędzy socjalizmem naukowym a „ulicznym” są mylne. Wyrok sądu okazał się surowym: 140 studentów zostało skazanych na opuszczenie zakładu.

Zakłady średnie także poczęły na nowo bardzo zajmować publiczność; zwłaszcza realne i techniczne. Senatorowie rewidujący mają otrzymać instrukcje co do zbadania stanu szkół, wpływu ich, potrzeby otwarcia nowych zakładów realnych i t. d. Dawny projekt założenia wyższej szkoły realnej w Wilnie zapewne teraz już będzie urzeczywistniony, gdyż ministerium przychylnie zapatruje się na projekt obywateli wileńskich. Wilno znowu stanie się ogniskiem umysłowym pod pewnymi względami, przynajmniej dla Litwy.

Rozmaite fakta bieżącego życia, pomimo rozpraw teoretycznych, ani na chwilę nie schodzą z porządku dziennego. Od kilku dni najwięcej słychać domysłów i pytań o osobistości niedawno schwytanej i trzymanej przez dzień cały w lokalu oficjalnym naczelnika miasta, aby ciągle zapraszana publiczność mogła się przyglądać stojącemu na stole człowiekowi, niechęcemu wyjawiać swego nazwiska, i odkryć go. Klucz od mieszkania, znaleziony w jego kieszeni, był okazywany stróżom domów.

Wiesć niesie, że ów nieznajomy nazywa się Isajew i że jest jednym z głównych wodzów partyi rewolucyjnej, o którym powieszona dziś Perowska, miała powiedzieć, że trudniej go będzie znaleźć, niż igłę na dnie morza.

W końcu kwietnia, jak głosi telegram z Kijowa, zasiadają na ławie oskarżonych (sądu wojennego) za udział w sprawie rewolucyjnej następujące osobistości: szlachcie Kaszincew, Szczedrin, Prisieckij, syn popa Preobrażeńskij, żona lekarza Bohomolca i żona nauczyciela Kowalewskaja.

R.

Z MOSKWY.

20 kwietnia.

Zastęp wybitniejszych ludzi na polu literatury i sztuki w Rosji ostatnimi czasy szybko się zmniejsza. Niedawno straciła ona Pisiemskiego, Millera, Dostojewskiego; d. 24 z. m. zakończył życie w Paryżu Mikołaj Rubinstein, dyrektor i założyciel moskiewskiego konserwatorium. Chorował on niedługo; słabość rozwinęła się nagle i nikt nie przewidywał tak rychłego i smutnego jej zakończenia. Rosya, a z nią cały świat muzyczny utracił w nim jednego z najznakomitszych fortepianistów, a Moskwa, dla której wyłącznie prawie poświęcił całą swoją działalność, ulubione dziecko swoje. Popularność jego była tu ogromną, a przywiązanie, jakim go powszechnie otaczano, dochodziło do entuzjazmu.

Mikołaj Rubinstein urodził się w 1835 r. w Moskwie. Ojciec jego był właścicielem znacznych dóbr na Wołoszczyźnie, ale wskutek procesu z rządem, stracił cały majątek i przeniósł się na mieszkanie do Moskwy, gdzie założył fabrykę ołówków. Mikołaj i starszy brat jego Antoni jeszcze w dzieciństwie okazali wielkie zdolności do muzyki. Początków udzielała im matka, pierwszorzędną w swoim czasie fortepianistka, która w 1844 r. dla dalszego kształcenia zawiozła obu synów do Berlina. Lekcje gry na fortepianie pobierał tam Mikołaj od znakomitego Kullaka, najkorzystniejszy jednak wpływ na rozwój jego

talentu wywarł Mendelshon i znany teoretyk Dehn. Śmierć ojca zmusiła matkę z Mikołajem wrócić do Moskwy, Antoni zaś udał się do Wiednia. Odtąd Rubinstein nie porzucił prawie Moskwy i wstąpiwszy na tutejszy uniwersytet, ukończył na nim wydział prawny.

W 1858 r. Antoni Rubinstein założył w Petersburgu towarzystwo muzyczne. Pierwszy pospieszył mu z pomocą brat jego Mikołaj, założywszy w Moskwie oddział tegoż towarzystwa, a następnie konserwatorium. Z utworzeniem tej ostatniej instytucji utworzyło się dla Rubinsteina nowe pole działalności, na którym dowiódł, że przyroda obdarzyła go nietylko potężnym talentem muzycznym, ale nadto znakomitą energią organizacyjną. Rozwój i utrwalenie stworzonego przezeń zakładu staje się przewodnią myślą jego życia, głównym celem, dla którego poświęcił czas swój, pracę i siły. Pod ożywczym wpływem Rubinsteina zaczyna się powoli rozwijać i doskonalić smak artystyczny wśród tutejszej publiczności, która jemu głównie zawdzięcza swoje muzyczne ukształcenie. Przedtem, muzyka była tu tylko udziałem nielicznego grona ludzi, należących do wyższych sfer towarzyskich, ale i tam uważaną była więcej za zbytek i zabawę, aniżeli za potrzebę duchową. Wejściu swojej 20-letniej działalności Rubinstein dokazał tego, że muzyka stała się potrzebą całej ukształconej publiczności i w tem właśnie leży jego zasługa społeczna.

Do powiększenia jego popularności przyczyniły się jeszcze w znacznej mierze: koncerty rosyjskie, urządzone przezeń na wystawie powszechnej w Paryżu, na których z ogromnem powodzeniem zaznajał świat zachodni z płodami rosyjskiej narodowej muzyki, a także jego podróż artystyczna po całej Rosji, podjęta na korzyść Czerwonego Krzyża podczas ostatniej wojny. Niezmordowana czynność Rubinsteina była doprawdy zadziwiająca i ona to może właśnie wyczerpała jego siły i spowodowała przedwczesny zgon.

Na parę tygodni przed śmiercią, z porady tutejszych lekarzy, wyjechał za granicę w towarzystwie burmistrza moskiewskiego p. Tretiakowa. Skutkiem katastrofy 13 marca, gdy Tretiakow udał się natychmiast do Petersburga, dalszą podróż odbył Rubinstein w towarzystwie dwóch dam rosyjskich, spotkanych przypadkowo. W Berlinie zmuszony był zatrzymać się przez dwie doby, a boleści w kiszkaach, na które cierpiał, stały się tak gwałtowne, że, wedle słów naocznego świadka, jęki jego napelniały cały hotel. Pomimo to spieszył do Paryża, dokąd z wielkim wysiłkiem dojechał 17 z. m. i gdzie nań oczekiwała p. Tretiakowa, żona burmistrza. Boleści, które go męczyły przez całą drogę, nie opuściły i w Paryżu. Wezwano niezwłocznie najznakomitszych doktorów paryskich, ale wszyscy orzekli jednogłośnie, że choroba jest nieuleczalna i wyrazili swoje zadziwienie, jak mogli lekarze moskiewscy narażać na tak długą i męczącą podróż człowieka, skazanego na śmierć. Nadzieja życia nie opuszczała jednak Rubinsteina do ostatka. Z damami, które go ciągle otaczały, żartował, był nawet wesół, o ile mu na to cierpienia pozwalały. W rozmowie zotaczającymi wyraził niezachwianą pewność prędkiego przyjścia do zdrowia, mówił o czekającej go działalności w Moskwie podczas wystawy i o przyszłym sezonie koncertów symfonicznych. Raz tylko wyrwały mu się słowa obawy o przyszłość; patrząc ze smutkiem na swoje wychudłe ręce, rzekł z gorzkim uśmiechem: „zdaje mi się, że moja artystyczna karyera skończona na zawsze.” Turgeniew oraz liczni muzycy paryscy odwiedzali go często, co mu sprawiało wielką przyjemność. Na kilka godzin przed śmiercią stracił przytomność, której już do końca nie odzyskał. Brat je-

go Antoni, który spieszył doń z Hiszpanii, nie zastał go już przy życiu.

Przewiezieniem ciała do Rosji zajął się Turgeniew. Do Moskwy przybyło ono 4 kwietnia, a we dwa dni później odbyło się uroczyste przeniesienie zwłok z dworca kolei żelaznej moskiewsko-brzeskiej do cerkwi uniwersyteckiej. Uznanie ogólne, jakim się cieszył nieboszczyk, znalazło swój wyraz w pogrzebie, urządzonym na koszt miasta, który się odbył niezapamiętną w Moskwie okazałością.

Od godziny 12-tej zaczęli się zjeżdżać na dworzec liczni wielbiciele talentu zmarłego, a o wpół do drugiej wszystkie sale i korytarze przepelnione były publicznością. Wagon, w którym mieściło się ciało, obity był czarnem sukniem; otaczała go rodzina, koledzy i przyjaciele nieboszczyka. Około godziny drugiej, po przybyciu duchowieństwa, profesorowie konserwatorium wynieśli na swych barkach trumnę i złożyli ją na katafalku, zaprzężonym w 6 koni. Przed orszakiem postępowało duchowieństwo, poprzedzane przez 7 profesorów konserwatorium, mających każdy po dwóch asystentów i niosących orderzy nieboszczyka. Pochód rozpoczynały deputacje z wieńcami ze świeżych kwiatów, towarzystw i instycyj, tak miejscowych, jako też petersburskich i prowincjonalnych, a których wyliczenie zabrałoby zawiele miejsca. Katafalk i osoby znajdujące się przy nim otoczone były wieńcem z zieloności, którą niosło 60 uczniów konserwatorium. Orszak pogrzebowy, któremu towarzyszył niezliczony tłum ludności, ciągnął się przez półtóry wiorsty. O godzinie trzeciej pochód żałobny, zatrzymawszy się w drodze na chwilę przed konserwatorium, którego fasada przystrojona była czarnem sukniem i żałobnymi flagami, przybył do cerkwi, ubraną wewnątrz laurowemi drzewami.

Ciało złożono w Daniłowskim monastyrze, a grób przykryto tymczasowo drewnianą płytą z napisem: „Moskwa Mikołajowi Rubinsteinowi.“

D.

AKT OSKARŻENIA HR. TARNOWSKIEGO

(przeciwko najnowszemu powieściopisarzom).

Kraków, 15 kwietnia.

Rzecz dziwna, klerykalno-pańskie pisma warszawskie, które tak czujnie nasłuchają i opowiadają swym czytelnikom, co złotousty hrabia o literaturze naszej gdziekolwiek wyrzecz raczy, nie dosłyszają, czy też nie opowiedziały aktu oskarżenia, odczytanego publicznie w Krakowie, którym szan. prokurator krytyki polskiej posadził najnowszych powieściopisarzów naszych na ławie podsądnych. A przecież był to akt ciekawy i wzbogacił sajdak stańczykowski nowym pękiem strzał — zatrutych.

Poznajmy go w głównej osnowie.

Pierwszym winnym był Lam.

Pannie Emilii nie poskapił prelegent kilku wyrazów słodszych, ale nad innymi tak cierpko się skrzywił, że aż usta słuchaczów czuły smak octu. Zwłaszcza *Dziwne Karyery* ściągnęły na siebie obrzydzenie delikatnego gustu. Prawda w nich tak naga, charaktery osłonięte gazą, pseudonymów tak przejrzystą — fil

Uroniwszy kilka łez nad zgonem dawnej gawędy szlacheckiej, której jedyny przedstawiciel, autor *Kłopotów starego kometanta* już się wyczerpał, ruszywszy litościwie ramionami nad muza pani Marrené, która jest gorszą niż zła, bo mierna, hr. T. położył na swym anatomicznym stole *Meira Ezołowicza* pani Orzeszkowej. Dla czego *Meira*? Bo on otwiera najszersze ujście stańczykowskiemu wybuchom.

Przedewszystkiem jest to plagiat, a mia-

nowicie powtórzenie Niemcewicza *Lejbe i Siora*.

Ale to rzecz najmniejsza! Stokroć gorszą jest, według p. T., tendencja. Jak można radzić, aby czytelnik uścisnął dłoń żyda? Taka rada to tolerancja, a tolerancja to bezwyznaniowość, a bezwyznaniowość to niepatryotyzm, zdrada kraju! Po strzemienniu tej logiki hrabia profesor dosiada swego stańczykowskiego konika i nuż ciąć na lewo i na prawo, a każda rana jest ciężką, bo trafia w to, co każdemu z nas, a i autorce, jest najdroższem.

Ex re generis zapewne dostało się i p. Maryi Konopnickiej za trzy obrazki, wydrukowane w Wilnie u pani Orzeszkowej, pod tytułem *Z przeszłości*. Bo też zuchwalstwem jest utrzymywać, że po za granicami świata katolickiego można spotkać objawy piękna i sprawiedliwości. To więcej niż zuchwalstwo, to także wykroczenie przeciwko patryotyzmowi, który jest tylko jeden jedyny, powszechny, katolicki, krakowski!

Z kolei przywołany został Okoński.

Inni otrzymali cięcia, z tego będzie drobno posiekany kotlet.

Co to znaczy? Trzy powieści *O życiu* hr. T. nazwał „bardzo ładnymi, a ich autora „jedynym talentem.“ (Według prelegenta jest dwóch takich jedynych; drugim Litwos). Uspokójmy się, Okoński odpokutuje za to jedynactwo.

Surowy prokurator zaczął badać: *Karla Kruga, Chawę Rubin i Damiana Capeńkę*. Chociaż to ładne, ale realistyczne, a realizm sprzeciwia się tradycyi.

Największe jednak gromy wywołały jednobrzmiące prawie zakończenia tych powieści: przebaczenie dla *Kruga, Chawy Rubin i Capeńki*, oraz przedmowa. Prelegent w przebaczeniu tem widzi najwyższe bluźnierstwo. Wszak Bóg nawet niewszystkie winy przebacza, — więc p. Okoński jest wyrozumialszym od Boga? I dalejże znowu na ultramontańskiego konika! Zarzut antipatryotyzmu jeszcze raz przed słuchaczami przedfilował.

Niedość tego. Usłużny prelegent, uzupełniając jakoby historję tych trzech postaci, wskazał nam brata *Kruga* jako bismarckowskiego urzędnika i niemającego nas kulturtragera, a obecnie redaktora *Norddeuts. Allg. Zeitung* i autora ostatnich o nas artykułów, potem brata *Chawy*, rozpajającego chłopów, wreszcie coś tam jeszcze o bracie *Capeńki*.

Powiedział ktoś, że z każdego dzieła można ułożyć na autora wyrok śmierci. Jestto prawda, jeśli zwłaszcza dopuścimy uzupełnienia w rodzaju tych, jakie czyni pan Tarnowski. To też można się założyć, że za pomocą takiej procedury nawet z broszur hrabiego profesora można ustawić szafot dla... autora.

Klemensowi Borucie przyznał okoliczności łagodzące, chociaż go nie uwolnił od winy. Wniosek zaś całego wywodutaki, że p. Okoński jest „jedynym talentem,“ lecz dotknięty pod względem sztuki realizmem, a pod względem politycznym „jeszcze gorzej“ (pewnie kanibalizmem).

W końcu wystąpił najmniej oskarżony Henryk Sienkiewicz. Z tym p. prokurator krytyki obszedł się delikatnie, prawie po ojcowsku. Dla czego?

Dotąd Litwos — według hr. T. — jest tylko artystą, lecz do żadnej nie należy partyi, a byłby dla każdej (adres znany) pożądanym nabytkiem.

Obok więc wielkich pochwał było kilka napomnień, że zbyt czarno świat nasz maluje, że nie zaznacza swych postaci jako wyjątki tylko, że jest za bardzo przynębionym i rozgoryczonym. A więc: *Sursum corda!* woła hrabia utalentowanemu autorowi, ale w tej chwili dodaje przestrożę, aby pamiętał o drugiej części tego zdania i powtarzał: *...habemus ad dominum*. I w ten sposób finalny akord zabrzmiał znów na ultramontańskim instrumencie.

Cudowny ten hymn stańczykowski przebrzmiał, akt oskarżenia się skończył, krakowianie westchnęli nad wskazanymi im znakami Sodomy i Gomory, a zatwardziali grzesznicy jak broili, tak pewnie dalej broić będą.

J. B.

MALARSTWO I RZEŻBA.

I.

W przerwach pomiędzy tworzeniem wielkich obrazów historycznych, Matejko rzuca na płótno szkice energiczne, śmiałe, nieraz krzyczące papuziami barwami, będące niedbałą igraszką znakomitego pędzla. Mamy w Warszawie obecnie dwa takie szkice, przedstawiające dwa ważne momenty dziejowe, dwa bezpłodne tryumfy królów polskich. Na pierwszym, znajdującym się w salonie p. Krywulcia, widzimy *Sobieskiego*, który pod Wiedniem dociera w zwyciężym zapędzie do obozu samego wezyra i jednym zamachem krzywej szabli ścina łeb tureckiemu wojownikowi, dzierżącemu, jak się zdaje, zieloną chorągiew proroka, którą król wydiera mu ze zmartwiałej dłoni. Główna ta grupa, pomyslna zbyt ryzykownie, jest nieprawdopodobną w ruchu i układzie. Daleko lepsze są obustronne epizody wojenne, a mianowicie popłoch w obozie turekim, przedstawiony w pełni gorączkowego ruchu, oraz szybkie natarcie polskiej konnicy, pędzącej w zbitych szeregach, które na drugim już planie tworzą chaotyczną niewyraźną masę. Ruch tu potężny, figury i konie na lewo w pierwszym planie są skomponowane znakomicie, całość dyszy wojenną zaciekleścią, ale obok wielkich przymiotów znajdujemy także wady: jak np. głowa końska rozmiarów konewki, albo lance wojowników, sterzące w powietrzu tak, że nie zgadniesz, gdzie są osadzone. W drugim szkicu, pomieszczonym w salonie p. Ungra, a będącym przygotowaną pracą do obrazu *Hold pruski*, dzieje się zupełnie przeciwnie, gdyż główne figury są dobre a całe otoczenie tak niedbale zaznaczone, że nie sprawia nawet przedsmaku artystycznej illuzji, będąc tylko bruljonem *pro memoria* dla samego malarza. Widzimy tu pierwszego księcia pruskiego Alberta, który składa przysięgę lenniczą Zygmuntowi I, kłęcząc u stóp jego na wysokim wzniesieniu, urządzonem na rynku krakowskim koło starożytnych Sukiennic, których dachy czernieją na lewej stronie szkicu. Albert w pełnej zbroi żelaznej, pysznie namalowanej, otrzymuje inwestyturę od starego Jagiellona, przedstawionego w bardzo typowym i wiernym zarysie. Za królem stoi cały szereg dostojników kraju, z których jeden, jak się zdaje, trzyma za rękę małego chłopca, prawdopodobnie królewicza Zygmunta Augusta; przed wzniesieniem widać mającą w kształcie niewyraźnej plamy postać jeźdźcy, na lewo grono widzów, żołnierzy i heroldów, na samym środku powiewa wielki sztandar pruski, trzymany przez samego księcia. O ile sędzić można ze szkicu, kompozycja tego obrazu przedstawi się wyraźniej, aniżeli wiele innych większych dzieł Matejki, ale to tylko przypuszczenie, gdyż w obecnym stanie ten projekt do obrazu jest w wielu szczegółach bardzo nieokreślony.

Oba te zresztą szkice są daleko mniej skończone, aniżeli inne drobniejsze obrazy wielkiego artysty; pośpiech w robocie wyskakuje w nich zbyt dla wrażenia dotkliwie, chociaż niezupełnie zaciera piętno siły i wyrazistości, właściwej Matejce, która tak często staje się zuchwalstwem w rysunku a zwłaszcza w kolorystyce.

Zupełnie inne znaczenie ma znajdujący się na wystawie p. Krywulcia szkic do obrazu Rossowskiego *Skazana*, do pewnego stopnia podkończony, niezmiernie miły i do-

brze odczuty, zwłaszcza w kolorycie. Pod względem wdzięku i barwności, szkice ten nawet wyższym jest od samego obrazu, który go jednak znakomicie przewyższa szerokością stylu i skończonością techniki.

Z innych dzieł pędzla, znajdujących się na tejże wystawie, zasługują na wyróżnienie Krajewskiego *Grzymisława w więzieniu czeskim*, z główną figurą energicznej księżnej, pełną życia i charakteru; Chelmońskiego mały typowy obrazek *Schronienie przed deszczem*, dobrze odtwarzający letnią nawałnicę; pani Dulęby Maryi bardzo pięknie namalowane studium głowy chłopca w fantazyjnej czapce, oraz udatny obrazek rodzajowy p. Mroczkowskiego *Przed kantorem loteryi w Krakowie*, przedstawiający grupy rozmaitego rodzaju graczy, przeważnie z niższych klas ludności. Ten ostatni obraz pojęty czysto realnie, nieożywiony głębszą myślą społeczną, którą tak łatwo, tak zgodnie z głębszą prawdą można by tu było na jaw wydobyć, zaleca się jednak życiem, barwnością, oświetleniem i kolorytu bardzo dobrem wykończeniem. Niemal ma zalet także ładny krajobraz flamandzki Hermana, przedstawiający wybrzeże jakiegoś holenderskiego miasta o typowej średniowiecznej powierzchowności. Zimowy ten widok, ożywiony tłumami ludu i jasnym światłem słonecznym, jest bardzo charakterystyczny i malowniczy. Artysta, pomimo pewnej maniery w nakładaniu farb poziomymi tylko rzutami, umiał oddać trafnie całą skalę różnorodnych efektów, pochwylił charakter starych holenderskich budowli, a szczególnie udatnie oddał lśniąca przejrzystość lodu w płytach i bryłach, rozrzuconych na wybrzeżu.

Z dziedziny rodzajowej zasługuje na bliższą uwagę znajdujący się na wystawie Tow. Sztuk Pięknych obraz p. Piechowskiego *Wiejskie wesele*. Widzimy tu jeden z ostatnich momentów uczty, uświetniającej rozpoczęcie gry na bardzo niepewnej loteryi życia. Pojedyncze postacie schwycone bardzo dobrze, pełne charakteru, począwszy od basetlistów, dudlących zawzięcie, aż do grupy podpitych biboszków, którzy gospodarza domu biorą na ramiona, aby go w tryumfie obnośić, za wspaniałe wyprawioną fetkę. I tutaj, podobnie jak w dawnych obrazach, artysta okazał się dobrym obserwatorem życia wiejskiego, uchwycił rysy typowe danej chwili, ale w technice zgrzeszył, jak dawniej, spłowiałym trochę kolorytem, oraz pewną trywialnością i twardością malowania, które nie pozwalają mu z dobrych spostrzeżeń i studyów stworzyć prawdziwego dzieła sztuki. Z mniejszych obrazków, wiszących na ścianach głównego artystycznego salonu, notujemy bardzo wdzięczny i elegancki drobniak Merwarta *Na wędkę*, przedstawiający młodą parę nad brzegiem strumyka w czasie miłego *far niente*, podczas letniej wycieczki. Obie figury pojęte i narysowane bardzo wdzięcznie i wytwornie, ale koloryt tu nadto bladawy. Ważnym objawem dla ludzi, śledzących bliżej rozwój naszych sztuk plastycznych, jest żywszy niecoruch, widoczny ostatnimi czasami w dziedzinie rzeźby, która u nas dotąd rozwijała się niby roślina egzotyczna, przesadzona na grunt niewdzięczny. Ostatnimi czasami nasi rzeźbiarze zdobyli się jednak na parę dzieł, tryskających wyższym talentem, z pomiędzy których na zaszczytne wyróżnienie zasługuje p. Klossa *Strącenie Tarpei*, grupa w połowie naturalnej wielkości, wykonana w marmurze, będąca obecnie najcenniejszą ozdobą małej salki rzeźbiarskiej przy Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Artysta zwrócił się tu do świata starożytnego, który dotąd dla rzeźby jest najwdzięczniejszą kopalnią tematów, podatnych do spokojnej a wzniosłej plastyki. Scena wybrana udatnie, od pierwszego rzutu oka uderza swą tragiczną siłą. Jest to ostatnia przedśmiertna chwila zdrajczyni, którą wykonawca sprawiedliwości strąca ze skały, mającej być odtąd miejscem zguby dla

wszystkich, co tak jak ona popełnili nahaniebniejszą na ziemi zbrodnię, odstępując własnych współbraci dla wroga. Przepyszna tu figura jest szczególnie liktor, traktowany z wielką siłą masykularną w stylu Michała Anioła, tylko bez zbytnej przesady. Figura jego jest zarazem przepyszne studium anatomiczne i artystycznym typem, uosabiającym rzymską *vim virilem*, którą p. Kloss potrafił także uwydatnić szczęśliwie w formie słowa, w wielu pięknych scenach swego dramatu *Cajus Gracchus*, nacechowanego prawdziwie spiszową energią. Oparty kolanami o skałę ten silacz gotuje się do fatalnego ruchu, który za chwilę rzuci zdrajczynię na dno przepaści. Patrząc na jej postać gibką, smukłą i wdzięczną, żalujesz, że to piękne ciało wkrótce na skałach poszarpie się i polamie w masę bezkształtną. Postać jej, oparta lewą nogą na wystającym zrębie skały, uchyla się lekko w tył ruchem ostatniego instynktowego oporu, aprawą ręką, wzniesioną nad głowę, okazuje rozpacz i strach, które malują się w rysach twarzy, wykrzywionych boleśnie, ale niezbyt konwulsyjnie. W pojęciu i wykonaniu tej figury artysta założył sobie widocznie połączenie zgrozy tragicznej z gracyą, niewieścią, co mu się w znacznej części udało, chociaż dla podniesienia efektu grupy mógłby bardziej wyprężyć członki zdrajczyni i nadać jej ruch nieco gwałtowniejszy. Niezależnie od tego postać ta jest istotnie piękną, ukazuje całe bogactwo cielesnych kształtów a poza jej, z wyjątkiem niezbyt estetycznie rozrzuconych włosów, jest pełną smaku i harmonii. Układ i plastyka całej grupy posiada niepospolite zalety kompozycji i piękności w proporcjach. Pominąwszy pewne nieustosunkowanie siły zamachu liktora do wiotkości kobiety, któraby uległa o wiele mniej krępkemu wykonawcy prawa, całość tłumaczy się bardzo dobrze w pozach i ruchu, robi wrażenie przedśmiertnej walki, posiada wreszcie tę spoistość i skupienie mas, które jest zawsze takim ważnym przymiotem rzeźby. Z każdej strony grupa oglądana daje oku wrażenie harmonijnej i pięknej sylwety konturów zewnętrznych, nie ma miejsc niezapelnionych i czezych. Pod względem wykonania w każdym szczególe widać tu technikę bardzo wysoką, dokładną a nawet wytworną. Pod względem stylu grupa ta jest skojarzeniem klasycznej energii — w postaci liktora z bardziej nowożytną gracyą i miękkością — w figurze Tarpei. W pojęciu i ukształtowaniu przedmiotu artysta okazał najzupełniejszą samodzielność, nie krepując się żadnym szematem, ani formułą akademicką i stworzył dzieło niepospolitej wartości, które każdego widza od pierwszej chwili żywo uderza a głębszym miłośnika sztuki zadawalnia przy dalszym rozważaniu pełnią cennych, wielostronnych zalet.

LIBERUM VETO.

Manifest dyrektora Tow. Muzycznego. — Jeszcze raz „ostatecznym zatwierdzeniu“ kanalizacji. — Sprawa zakładu gazowego jako pociecha dla reporterów. — Felczerzy przy cyrkulach. — Tramwaje. — Kokieterya kolei lwangrodzko-dąbrowskiej. — Reformy szkolne: świadectwa spowiedzi. — Droga do Kanossy. — Tantyema w Banku Polskim. — Chroniczna rewolucja w teatrze pomimo konstytucji. — Wystawa w pałacu Brühlowskim. — Występ prelekcyjny p. Jurkowskiej. — Odczyty przyrodników. — Składki na pomnik Mickiewicza. — Klótnia o miejsce. — Złe towarzystwo.

Odetchnęliśmy! Dyrektor Tow. Muzycznego i przyszłej orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej wydał nareszcie ogłoszony w kilku pismach manifest, w którym określił „stanowisko, jakie wobec sztuki krajowej zająć pragnie“ i obiecał, że „nie omie-

szka donieść we właściwym czasie o innych, dalszych planach swoich.“ Spokojni więc z tej strony, która nam myśleć o innych sprawach nie dozwalała, zajmijmy się porządkiem dziennym.

W zeszłym tygodniu, zawierzywszy doniesieniem pism dobrze poinformowanych, odtęczyłem z czytelnikami, jak król Dawid, powszechną radość przed arką, w której szan. Prezydent przywiózł zakon kanalizacji Warszawy; tymczasem okazało się, że telegraf dopiero w kilka dni później przyniósł tę rokoszną nowinę. Ponieważ jesteśmy zbyt zmęczeni, ażeby ją w ten sposób uczcić po raz drugi, nie ponawiamy więc naszych piasów, tem bardziej, że może znowu nieszczęsna kanalizacja, owa żydowska wieczna tułaczka naszej prasy, nie zakończyła swej pokuty i jeszcze potrzebuje jakiegoś ministeryalnego rozgrzeszenia.

Gdyby nawet zakończyła swą urzędową wędrówkę, nie płacicie reporterzy, bo zostawiła córkę, która również obiecuje dożyć sędziwego wieku matki. Mówię o sprawie zakładu gazowego, który miasto chce wystawić własnym kosztem, jeśli Towarzystwo nie sprzeda obecnego za 5,600.000 rs. Ma ono wóz i przewóz, albo... albo... Ponieważ jednak przypuszczać wolno, że targ potrwa długo, oraz, że na wypadek niezgody projekt własnego zakładu gazowego jeszcze dłużej świewać będzie:

„U drzwi twoich stoje, panie
Czekam na twe zmiłowanie“ —

przezo reporterzy na kilka lat mają zapewnioną swobodę polowania na wiatr w polu. A gdy to się skończy, to przecież będziemy mieli starania o Radę Miejską, w przedmiocie której najwytrwalszy z nas wszystkich, zacny Prezydent jedzie znowu do Petersburga.

Tymczasem magistrat, zanim wypróżni swe kieszenie na sprawunki kosztowniejsze, zrobił biednym bardzo ważną usługę: otworzył p. Oberpolicmajstrowi kredyt do wysokości 100 rs. na utrzymywanie przy cyrkulach felczerów, gotowych do niesienia pomocy potrzebującym. W naszym Królestwie formalności, w którym biedak ze zlaną na ulicy nogą lub ręką musi nieraz jeździć od szpitala do szpitala i nie znaleźć w żadnym przytułku, jest to „reforma“ pożyteczna. W tem naszym Królestwie wiele rzeczy nauczyłem się rozumieć, tego jednak prawdopodobnie nie zdołam nigdy pojąć, na jakiej ludzkiej zasadzie można od chorego nędzarza wymagać świadectwa, pozwalającego mu korzystać z dobrodziejstw szpitalnej kuracji. Felczerzy cyrkulowi usuną choć w części tę trudność, naturalnie jeżeli to będą rzeczywiście i ukształceni felczerzy, nie zaś małoletni Figarowie naszych razur.

Gdybyśmy sparzeni na wiadomościach o „ostatecznym zatwierdzeniu“ kanalizacji, wodociągów i t. p. fig. malowanych mogli zawierzyć dobrze poinformowanej reporteryi, wypadłoby przypuszczać, że w przyszłą niedzielę czytelniku z Muranowa pojedziesz tramwajem na spacer do Łazienek. Towarzystwo belgijskie bowiem, które ma eksploatować nasze potrzeby uruchomienia się, — jak słyszymy — „bardzo energicznie się krząta“, zakupiło plac, sprowadza tabor i natychmiast wyciągnie nam taką linię kolei konnej, że przerażeni dorożkarze będą wozili według taksy nawet... żydów i kobiety (dwa najbardziej przez nich znienawidzone gatunki pasażerów).

Mniej nadziei mają wyznawcy drogi żelaznej lwangrodzko-dąbrowskiej. Niestala bowiem ta kokietka zaleca się ciągle do swych kilku wielbicieli i żadnemu nie ofiaruje swych względów ostatecznie. Jednego dnia p. Bloch z p. Wielopolskim, drugiego — p. Findeisen — słowem kaprysy, na które oczekujący pospiesznej komunikacji z Iwangrodu do Dąbrowy zaciskają pięści i zgrzytają zębami. Jak sprawa

tych załotów stoi obecnie, trudnoby prasa hydrauliczną wycisnąć coś pewnego z „najwiarogodniejszego źródła.“ Ostatni bowiem buletyn brzmi: Towarzystwo kolei warszawsko-wiedeńskiej koncesyi na drogę iwangrodzko-lódzką nie uzyska. „Jeżeli tym razem (dosłownie!) działania towarzystwa drogi żelaznej wiedeńskiej nie odmówią skutku, to w ciągu najdalej sześciu tygodni będzie można przystąpić do budowy kolei iwangrodzko-dąbrowskiej.“ Występują tu dwa, nader proste pytania: 1) skoro towarzystwu drogi warsz. wiedeńskiej stanowczo odmówiono, to dla czego skutek jego działań (chyba starań!) ma być wątpliwy; i 2) skoro koncesyi nikt nie otrzymał, to któż będzie mógł przystąpić do budowy „najdalej w ciągu sześciu tygodni?“ Są tajemnice, których zwykła domysłność odsłonić nie zdoła.

Gdyby głos mój odzywał się w piśmie daleko słyszanem, zaraz bym rozstrzygnął tę zagadkę, wypuściwszy wzorem dzienników rosyjskich odpowiedni *balon d'essai* dla wywołania *tak* lub *nie* ze strony urzędowej. Zdaje mi się, że balon taki, schwytyany i przez nasze pisma, puściły *Nowosti*, doniosłszy, że minister oświaty ma wydać noworozporządzenie, według którego wступający do wszystkich zakładów naukowych, starsi nad lat 14, winni posiadać między innymi dokumentami także świadectwo... z odbytej spowiedzi. Jeżeli wiadomość owa się potwierdzi, natychmiast wystąpię z prośbą o koncesyę na drogę żelazną do Kanossy, a tymczasem uprzejmie proszę *Przegląd Katolicki* i inne wtórujące mu organy o jak najgłośniejsze wołanie, że u nas jest „mało księży.“ Rzeczywiście wtedy będzie potrzeba dużo konduktorów, zawiadowców i maszynistów dla obsłużenia liczby pociągów pobozności.

Dla czego szczęście to ma spotkać tylko zakłady naukowe? Dla czego urzędnicy Banku Polskiego nie mieliby także legitymować się z odbytej spowiedzi? Konfesyonał powstrzymałby ich od chciwości i zazdrości, które to grzechy uwydatnił szczególnie *jeden z bankowego plebsu*, w liście pisanym do *Nowin*. Ma on bowiem dziką pretensyę, że prezes pobiera 75% tantiemy, vice-prezes 50%, dyrektorowie zaś po 66% i 50%. Pretensya to, jak mówię, dzika, bo przecież nie na to chyba Bóg stworzył dyrektora, ażeby ten pobierał wyższą pensyę, a od tego jest wyższa pensya, żeby sprowadzała wyższą tantiemę. Jasne jak słońce; niech „jeden z bankowego plebsu“ spyta się każdego spowiednika.

Zresztą *concordia res parvae crescunt* (a Bank Polski urósł!), najlepiej o tem świadczy teatr warszawski, w którego łonie wre ciągle wulkan. Potrzeba jakiego Falba, któryby nam objaśnił przyczyny tego ciągłego kotłowania się żywiołów w rozbitym garnku Melpomeny. Rapacki zły, Bogusławski zły, Deryng zły, Tatar-kiewicz zły, samowładztwo w zarządzie złe, konstytucya zła — głowa boli od pomysłów dogodzenia niewidzialnemu duchowi, który w tym gotującym się garnku ciągle miesza. Wszyscy mają „wyższe pojęcia o zadaniu świątyni sztuki,“ i wszyscy, gdy zaczną je urzeczywistniać, okazują niższe. Zmieniono gromadę reżyserów, zmieniono prezesa, potworzono nowe godności, zwołano Izbę i Senat — pomimo to wszystko, — jak świeżo zapewniają dwa spokrewnione w tym względzie pisma — teatr przedstawia „obraz oplakanego odmetu, zamieszania, nieładu i rozprzeczania.“ A cóż robi konstytucya, deputaci od narodu? Ej, panowie literaci, rozdzierający swe kapłańskie szaty, czy wy czasem nie jesteście główną przyczyną tego „odmetu!“ Za dużo w swoich organach krzyczycie na drugich...

Na sumieniu tych figlarzów ciąży już niejedna psota. Nawet wielu przemysłowców, mających przyjąć udział w wysta-

wie moskiewskiej, nie okazało nam swoich wyrobów z obawy, żeby lekkomyślne sądy na miejscu nie popsuly im powodzenia na przyszłym turnieju. I dla tego też wystawa w pałacu Brühlowskim jest ilościowo bardzo uboga: trochę piwa, butów, narzędzi mechanicznych, stolarskich i t.d. Przysnaw wszakże trzeba, że pod względem jakościowym wyroby te odznaczają się bardzo pomysłnie i rokują Królestwu tryumf w Moskwie. Jednocześnie na placu Ujazdowskim wzniesiono już parkany i namioty dla wystawy inwentarza żywego w czasie wyścigów konnych i jarmarku wełnianego. Tu popis ma być okazały.

W każdym razie szczęśliwszy zapewne niż popis p. Jurkowskiej na katedrze w Ratuszu. Szanowna nauczycielka z Płocka przypuszczając, że Warszawa jest jeszcze bardzo młodą i nieukształconą panią, postanowiła jej to i owo powiedzieć o literaturze powszechnej. Skutkiem wynikłej stąd pomyłki nastąpiło obustronne rozczarowanie, którego ujawniona w innych pismach nagość, przez szacunek dla dobrych chęci prelegentki, osłonię milczeniem. O ile zaś katedra publiczna potrzebuje po tym niefortunnym występie pewnej poprawy umysłowego kredytu, dopełnią tego niezawodnie przyrodnicy, którzy rozpoczęli szeregi spojonych treścią odczytów w Resursie Kupieckiej.

Z drugiej strony, kto wie, czy p. Jurkowska nie miała pewnej racyi, przypuszczając wśród nas brak elementarnej znajomości dziejów literatury powszechnej, jeśli rezultat składek na pomnik Mickiewicza nie dobiegł jeszcze 2,000 rs., a złożyć trzeba kilkanaście. Może my rzeczywiście mało wiemy o swoim największym poecie. Poeciwy *Tygodn. Ilustrowany* podstawia skarbonkę — rzadko kto w nią grosz wrzuci. Zamiast ofiar, nadsyłają mu rozmaite projekta, gdzie pomnik postawić należy. Jedni radzą pod Wawelem, drudzy między ulicą Floryańską a Sławkowską, inni na placu Szczepańskim, a znalazł się nawet taki, do tego „wieśniak,“ który tak usprawiedliwia w *Tygodn. Ilustr.* niechęć do rynku: „Rynek miejski dla króla naszych poetów, który od zgiełku ulicznego wiecznie stronił, byłby miejscem najmniej odpowiednim. Autor *Dziadów* miałby tam wieczne towarzystwo wekslarzy, dorożkarzy i słynnych z gwarliwości przekupek krakowskich.“ Pozwolę sobie zrobić uwagę *wieśniakowi*, że gdybyśmy w wyborze miejsca chcieli się kierować tem, od czego Mickiewicz stronił, to przedewszystkiem nie należałoby mu stawiać pomnika w Krakowie, lecz gdzie nad brzegiem Niemna lub Wilii. Powtóre towarzystwo dorożkarzów z pewnością by mu nie ubliżyło, tak jak nie ubliża w Warszawie Kopernikowi. A wreszcie i to coś znaczy, że przez sąsiedowanie przekupki i inne kanale dowiedziałyby się może, kto był Mickiewicz, tak jak warszawscy dorożkarze i tragarze wiedzą, kto był Kopernik.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Okolica Łęczycy doznała silnego wzruszenia po wypadku, który rozsnął się w prawdziwy dramat. Pewnego dnia, skutkiem zapewne jakiegoś raportu, p. minister finansów wysłał do Królestwa tajemnego rewizora. Rewizor ów, nazwiskiem Pietropawłowski, przybył naprzód do Łodzi, gdzie ukrywający swój charakter, pochwytał niei akcyznych spisku, z których jedna zaprowadziła go do osady Grabowa, niedaleko od Łęczycy, a właściwie do gorzelni tam się znajdującej. W chwili gdy nikt, bo nawet miejscowi dozorecy akcyzni nie oczekiwali

tak pożądanego gościa, zjawia się on do fabryki i zaczyna ją troskliwie badać. Na wstępie jednak spotyka go nieszczęście: podczas odkręcania jakiejs śruby, para buchnęła tak gwałtownie, że poparzyła najbliższej stojących a między nimi — rewizora. Inni wezwali lekarza, p. Pietropawłowski zaś sądnie śledczego. Niebawem przybyli i urzędnicy akcyzni. Po starannych poszukiwaniach znaleźono pod podłogą zwiniętą kieszkę dla spuszczenia okowity do piwnicy. Tymczasowy rezultat odkrycia: właściciel gorzelni osadzony w więzieniu, nadzorca 7-go okręgu akcyznego powiesił się, a rewizor na kuracyi. Pretensya skarbowa ma wynosić około 800,000 rs.

Najszczegółowiej opisujący to zdarzenie korespondent *Wiek*u podrwiwa z ulowionego fabrykanta, z policyi i t. d. Nam się zdaje, że podrwiwać niema czego. Lepiej zwrócić uwagę na olbrzymie opodatkowanie u nas okowity, które ciągle pobudza do nadużyć. Jeżeli produkt surowy na wia dro kosztuje 2 rs. 50 kop. a opłata od niego przeszło dwa razy tyle, bo 5 rs. 60 kop., to doprawdy trudno się dziwić słabości ludzkiej, usiłującej tajemnie obejść prawo. W Prusach gorzelnicy nie mają pod podłogą tajemnych kieszek, bo więcej straciłoby schwytyani, niż zarobić mogą nieodkryci, bo umiarkowany podatek nie demoralizuje ich. U nas bezprzykładna nieproporcjonalność kosztu produkcji do jej akcyzy kusi ciągle i kusić będzie mimo wszystkich urzędników, strażników i rewizorów. Smutne doświadczenie jednego uczy innych tylko... staranniejszego ukrywania nadużyć.

* *

Bieda kurpiów doczekała się szybko starannej i uorganizowanej opieki. Warszawski Jenerał-Gubernator dozwolił komitetowi, zajmującemu się w roku zeszłym wsparciem dla Sandomierzan, działać na korzyść kurpiów. Na miejsce nieszczęścia wysłano już trzech delegatów: Czaplickiego, proboszcza z Przasnysza, J. Żurawskiego i S. Rykowskiego, okolicznych obywateli ziemskich. Komitet przybrał do pomocy kilku księży i ziemian. Kasjerem jest p. Goldstand w Warszawie. Pisma rozpoczęły zbierać składki. Ogólna liczba głodnych wynosi 950 rodzin, około 4,000 ludzi. Przypuszczalny fundusz na uśmierzenie głodu obliczono do 18,000 rs. Dotąd ofiary idą skąpo. Czy kraj nasz wysilił się na szlachków, czy też zniechęcił się do tego rodzaju jałmużny, ochłodzony w swych szlachetnych uczuciach?

* *

Wszystkie pisma nasze wybuchnęły homerycznym śmiechem. Zjazd sędziów pokoju 1-go okręgu gubernii kaliskiej skazał do Osad Rolnych *dziewczynę*. Dotąd więc ani jeden z sędziów nie dowiedział się, że do Studzienca przyjmowani są tylko chłopcy. No, i cóż dziwnego, że Zjazd radomski jeszcze nie nie słyszał o decyzji Senatu w sprawie Jackowskiego. Komunikacye prawne są u nas bardzo ciężkie. A jednakże, rękymy, że w Paryżu i Londynie wiedzą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 kwietnia.

Sprawa tunetańska weszła w okres działania wojennego, któremu towarzyszą charakterystyczne symptomy opinii publicznej. Wobec stosunku sił stron walczących z góry wiadomy jest rezultat; a przecież mimo to cała Europa z gorączkowem niemal zaciekawieniem śledzi bieg wypadków i niecierpliwi się ich powolnością. Objaw ten wytłómaczyć można tylko przeświadczeniem, że zatarg Francyi z bejem Tunisu jest właściwie tylko zarod-

kiem ogólniejszego zawikłania, które spowodować może w następstwie swoim rozkład tak zwanego koncertu europejskiego, o ile on jeszcze wychodzi cało z gry na półwyspie Bałkańskim. Bej Tunisu, zasłaniając się swoim stosunkiem lenniczym do Porty Otomańskiej, za radą naturalnie swego ukrytego doradcy, konsula Włoch, zaangażował już Turcję w sprawę, a w dalszym rozwinieciu zwrócił się z protestem przeciw najazdowi francuskiemu do mocarstw europejskich, żądając ich sądu. Jaki skutek apelacya ta osiągnie bezpośrednio, dotychczas wiadomo; bądź co bądź, rzecz jest na najlepszej drodze do gruntownego powikłania interesów, a tem samem do otwarcia nowego turnieju dla zbiorowych popisów dyplomacyi, które ostatnimi czasy weszły niejako w modę.

Co do samych operacyi wojennych w Tunisie, to do tej chwili wiemy o nich tylko tyle, że się rozpoczęły i rozwijają się powolnie z powodu złego stanu powietrza. Ważniejszych starć dotychczas nie było.

Jednostajność nudnych operacyi dyplomatycznych na Wschodzie doczekała się z wiosną urozmaicenia w postaci powstania albańskiego. Liga, którą przedstawiano swego czasu jako nieistniejący wytwór dyplomacyi tureckiej dała się widać we znaki Porcie Otomańskiej, skutkiem czego rząd sułtana wyprawił Derwisza paszę z 25 tysięcznym korpusem dla poskromienia niesfornych albańczyków, którzy ze swej strony wystawili także około 20.000 zbrojnych do walki z wojskiem turekiem. Pierwsze starcia wypadły pomyślnie dla oręża tureckiego, wyprawa atoli nie ukończyła się jeszcze. Ostatnie wiadomości stwierdzają fakt, że zagraniczni emisaryusze są czynni w ruchu albańskim, co nadaje tem większe znaczenie temu ogniwu w łańcuchu zawikłań wschodnich.

Niemcy obecnie pogrążyły się już w ruch przedwyborczy, przygotowujący rolę dla zbliżającej się elekcji nowego parlamentu. Agitacya, jak na germański temperament, idzie wcale żywo, bo też i hasło rzucone przez obóz postępowy: „za Bismarckiem lub przeciw Bismarckowi“ nadało walce opinii charakter bardzo stanowczy. Przesądzać dziś skutku niepodobna jeszcze: wszakoż dość wybitnie już zarysowuje się wzmocnienie kierunku opozycyjnego względem polityki kanclerza. Nawet w własnych najwierniejszych jego szeregach objawia się odstępstwo. Mianowicie w łonie partyi t. zw. „agrystów“ konserwatywnych powstała secesya pod wodzą p. Wagnera, który był jednym z poufnych ks. Bismarcka, a dziś występuje jako jego opozycjonista.

St.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Konkurs. Jeden z pedagogów miejscowych ogłosił za pośrednictwem redakcyi *Kłosów* konkurs na wybudowanie gmachu szkolnego, w którym mieścić się ma szkoła z pensjonatem. Projektodawca ustanowił dwie nagrody: 500 i 200 rs., które przyznane będą dwu planom architektonicznym, które sąd konkursowy uzna za najlepsze. W skład sądu tego wejść mają i dwaj budowniczy, dwaj nauczyciele i jeden lekarz.

Termin ostateczny do przedstawienia planów oznaczono na dzień 1 grudnia r. b.

Blizszej wiadomości udziela redakcyja *Kłosów*.

— Akademia umiejętności w Turynie przypomina za pośrednictwem gazet włoskich, iż z dniem 1 stycznia r. 1879 otwarty został konkurs, w którym, według życzenia testatora d-ra Cezara Aleksandra Bessy, mogą wziąć udział uczeni i wynalazcy wszelkich narodów.

Konkurs ten ma na celu wynagrodzenie uczonego lub wynalazcy, który w ciągu czteroletniego peryodu od 1879 do 1882 r., według uznania akademii umiejętności w Turynie, dokona odkrycia najwybitniejszego i najpo-

żyteczniejszego, albo też, który napisze dzieło najlepsze z nauk fizycznych, z historyi naturalnej, matematyki czystej albo stosowanej, chemii, fizyologii i patologii, nie wyłączając geologii, historyi, geografii i statystyki.

Konkurs zamknięty będzie w dniu 31 grudnia roku 1882.

Nagroda wynosi 12,000 franków.

Literatura polska. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie opuścił prasę IV tom *Zbioru wiadomości do antropologii krajowej*. Tom ten zawiera następujące prace:

Poszukiwania archeologiczne w r. 1878, przez ks. A. Brykczyńskiego; *Wycieczka antropologiczna nad rzekę Świder w r. 1878*, przez K. Dudrewicza; *Mogiła w Helenowie, pow. wasilkowski na Ukrainie, zbadana w r. 1879*, przez E. Rulikowskiego; *O malowanych naczyniach w Wielkiem Księstwie Poznańskiem*, przez Wł. Jażdżewskiego; *Badania geologiczno-antropologiczne z r. 1879 w jaskiniach okolic Krakowa*, przez Godfryda Ossowskiego, oraz *Porzeczkie Wiejcy i przyległe im wybrzeża Wisły*.

W tymże tomie mieści się praca antropologiczna d-ra Józefa Majera p. t. *Roczny przyrost ciała u żydów galicyjskich, jako przyczynek do ich charakterystyki fizycznej*, jak również cenne materiały do etnologii polskiej, zebrane przez A. Podberezkiego (z Ukrainy), ks. Wł. Siarkowskiego (z okolic Kiele) i J. Grajnera (z okolic Wielunia i Radomska).

— Wyszedł z druku zeszyt drugi pracy p. F. Flamma *O wekslach i czekach*.

— Świeżo opuściły prasę szkice biograficzno-literackie Walerego Przyborskiego p. t. *Niewieście ideały poetów polskich*.

— Józef Sosnkowski, starszy prokurator rządowy, wydał monografię p. t. *Złoto, srebro i drogie kamienie*. Podręcznik ten dla pragnących ożebnać się z wartością i próbą złota i srebra w monecie i wyrobach, oraz wartością drogich kamieni, jest pierwszą i jedyną dotychczas w naszym języku pracą tego rodzaju.

— Wyszła z druku powieść Teod. Jeske-Cholińskiego p. t. *Za winy ojców*.

— Lange, *Historja filozofii materialistycznej*, w tłum. A. Świętochowskiego, zeszyt IV i V. Zeszyty te kończą pierwszy tom znakomitego dzieła.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Bielitz na Szlasku austriackim zaczęło wychodzić od 1 kwietnia r. b. nakładem Roberta Hinke oryginalne wydawnictwo peryodyczne p. t. *Manuskriptblatt*. Jest to tygodnik, przeznaczony głównie dla drukarzy, redaktorów i wydawców gazet, kalendarzy i t. p. i ma na celu dostarczanie im obfitego zapasu utworów literackich, dla użytkowania ich w każdym czasie.

Literatura niemiecka. Corrodi August, *Der Sang vom Aegerer*. Wydane w Zurichu w księgarni Trüba, r. 1881.

— Księżna Elżbieta rumuńska, *Rumänische Dichtungen*, w tłumaczeniu niemieckiem przez Carmen Sylva. Wydane w Lipsku r. 1881.

— Hanschorst Jul. Dr., *Ueber den Einfluss der Ueberbürdung unserer Jugend auf den Gymnasien mit Arbeit auf die Entstehung von Geistesstörungen*.

— Ernest Schulze, *Skizzen hellenischer Dichtkunst*. W Gotha u Perthesa.

— E. Fleissner, *Handbuch der Kryptographie*. Wychodził poszytami w Wiedniu nakładem firmy Seidel i syn.

Literatura francuska. *Moines et Nonnes, Histoire, Constitution, Règle, Costume et Statistique des Ordres Religieux*. W Paryżu nakładem Fischbachera.

— Goncourt, *L'art du dix-huitième siècle*, wydane w Paryżu u Riekera.

— Tissot et Amero, *La vie en Sibirie. Aventures de trois fugitifs*.

Literatura rosyjska. W Petersburgu wyszło ciekawe dzieło p. Michniewicza p. t. *Warszawa i Warszawianie*.

— I. Juzow, *Ruskie dissidenty. Starowiery i duchownye chrestianie*. Petersburg.

— I. Iwaniukow, *Osnownija položenija teorii ekonomieskoj polityki s Adama Smita do nastojaszcawo wremieni*. Moskwa.

Malarstwo i rzeźba. Munkacsy ukończył nowy obraz znacznych rozmiarów, przedstawiający *Chrystusa przed Pilatem*. Obraz ten wystawiony będzie w Salonie paryskim.

— Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: Buchbindera Józefa *Święty Stanisław wskrzeszający Piotrowi-*

na; Bilińskiej Anny Siostra miłosierdzia; Gersona Wojciecha Jadwiga i Dymitr z Goraja; Gościańskiego Władysława 5 akwarel i Ruiny zamku Esterki; Murzynowskiego Antoniego Portrety artystów i Zamojski u Kochanowskiego; Maleckiego Władysława Przewóz na Wiśle pod Krakowem i Chiemie w Bawaryi; Modersteina Dawida Portret mężczyzny; Shouppé Alfreda Wodospad w Tivoli i Klasztor Benedyktynów w Subiaco; Strzałeckiego Wandallina Portret własny, Otrucie ostatniego księcia mazowieckiego i Powieść Rybalt; Unierzyńskiego Józefa Poranek; Praca konkursowa Popiersie Mianowskiego (z gipsu).

— W Gandawie odkryto nieznany obraz Rubensa. Zaopatrzone jest on w podpis mistrza i datę r. 1664.

Muzyka. Uroczystość muzyczna meklemburska odbyła się w połowie maja w Szwerynie. Między innymi utworami wykonanymi będą *Misa na D Bethowena* i *Samson Händla*.

— W Turynie odbędzie się w d. 5 i 6 czerwca r. b. wielki konkurs muzyczny dla stowarzyszeń śpiewaków i orkiestr.

Teatr. W *Folies dramatiques* wystawiono z powodzeniem operetę p. t. *Lalki infantki*. Muzyka p. Grisart, libreto pp. Bocaye i Licrat.

Na scenie krakowskiej wystawiono dramat M. Romanowskiego p. t. *Popiel i Piast*.

OGŁOSZENIA.

KSIEGARNIA

EKSPEDYCYA PISM PERYODYCZNYCH, SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

oraz

MATERIAŁÓW PIŚMIENNYCH

JANA WOLFFA

W KOWNIE

przy ulicy Petersburskiej dom Pojarkowa dawniej Rittlera.

Nowo otwarta d. 1 grudnia 1880 r., dostarcza po cenach warszawskich wszelkie dozwolone dzieła przez Cenzurę Rządową, wychodzące w kraju i zagranicą, w rosyjskim, polskim, francuskim i niemieckim języku. Posiadając na składzie wielki wybór materiałów piśmiennych, poleca takowe po cenach stałych, stosunkowo nadzwyczajnie tanio. Przyjmuje prenumeratę na wszelkie pisma krajowe i zagraniczne oraz zamówienia z prowincyi, w zakres działalności księgarskiej wchodzące, które skutecznie odwrotną pocztą. Wypisujący nót lub książek naraz za rs. 5 kosztów przesyłki nie ponoszą; przy księgarni znajduje się biblioteka, posiadająca przeszło 1,000 tomów ostatnich powieści. 3—6

NAKŁADEM WYDAWNICTWA

Bernarda Lesmana

opuściło prasę dziełko p. t.

METODY I TEORYE

rozwiązania zadań geometrycznych konstrukcyjnych zastosowane do przeszło 400 zadań

przez

D-ra JULIANA PETERSENA

tłumaczenie

D-ra K. Hertza

nauczyciela szkół publicznych

Cena kop. 60.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

3—3

Zeszyt IV i V

kończące 1-szy tom

HISTORII FILOZOFII

Materialistycznej

F. A. Langego,

opuścił prasę.

Wydawnictwo Bernarda Lesmana. Orla nr. 2.

1—2